

M. B.
im.
L. W.
Lódź

numerze: ANDRZEJ LIPIŃSKI **Co jest z kulturą tego miasta** • KAROL BADZIAK **Góralskie tańce**
HALINA IVANIČKOVA **Współczesność i archetypy** • ROMAN ŁOBODA **Coś musi się zdarzyć**
Prezentacje - Janusz Bardach • Recenzje • Zewsząd o wszystkim • Nowela

O d a t o s y



40 (724)

3. X. 1971 r.

Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. A. Pietrzyk

PO RAZ DWUDZIESTY SZÓSTY

Po raz dwudziesty szósty zabrzmiał w wyższych uczelniach naszego miasta „Gaudeamus igitur”. Po raz dwudziesty szósty wstąpiła w mury Uniwersytetu, Politechniki, Akademii Medycznej, WAM, Wyższej Szkoły Filmowej, Teatralnej, Plastyk i Muzycznej nowe roczniki, nowi szczęśliwcy, którym powiodło się na egzaminach i zostali dopuszczeni do studiów. W tym roku na samym tylko Uniwersytecie będzie ich łącznie ponad 1.600 osób.

Różne są pobudki, kierujące młodzieżą na wyższe uczelnie. Żądza rozszerzania i pogłębiania wiedzy, chęć zdobycia zawodu, względy prestiżowe (bo i tak bywa). Niektórzy z tych nowo kreowanych studentów odpadną już na pierwszym roku, inni zrezygnują sami. Ci, którzy dotrą do końca, zasila szereg ludzi wykształconych i wzbogacą osiągnięcia w różnych dziedzinach pracy i twórczości. Poważna jest armia tych, którzy od początku istnienia Uniwersytetu Łódzkiego do chwili obecnej opuścili mury uczelni z dyplomami magisterskimi. Liczba ich sięga 20 tysięcy. Pomóżmy tej liczbie przez pozostałe uczelnie, a otrzymamy kilkadziesiąt tysięcy ludzi, przygotowanych do prowadzenia poważnych prac i pełnienia odpowiedzialnych funkcji. Hasło „Polska krajem ludzi kształcących się” nie jest tylko efektywnym sloganem. Jest sprawą coraz bardziej powszechną. Uczą się przecież nie tylko młodzi. Uczą się ludzie dorośli, zaawansowani w latach, którzy pragną uzupełnić wiedzę, podnieść swoje kwalifikacje zawodowe, pójść wyżej i dalej.

A młodzi, którym się nie powiodło przy egzaminach na wyższe uczelnie, mają do wyboru studia pomaturalne różnych specjalności. Kto chce się uczyć — ma przed sobą wiele dróg.

Nie ulega kwestii, że Łódź stanowi znaczący ośrodek naukowo-universytecki. Ilość prac naukowych, ukazujących się rokrocznie na łamach czasopism specjalistycznych i w osobnych publikacjach, świadczą o dorobku środowiska i jego rozległych zainteresowaniach. Nasze wyższe uczelnie prowadzą również wymianę z innymi uczelniami krajowymi i zagranicznymi. Młodzież organizuje się w kółka naukowe, rozwija działalność społeczną i artystyczną. Wszystko to prawda i nikt prawdy tej nie zdoła podważyć. Ale powiedzmy sobie przy tym, że niedostatecznie jeszcze uczelnie wrosły w życie miasta. Nie czujemy na co dzień, albo ściślej: czujemy w stopniu niewystarczającym, że mamy w Łodzi tyle wyższych uczelni i tyle studiującej młodzieży. Czy dwadzieścia sześć lat istnienia szkolnictwa uniwersyteckiego to za mało, aby wytworzyć tradycję i żywe więzi między młodzieżą studiującą a społeczeństwem? Daje się również zauważyć brak kontaktów między uczelniami a środowiskami artystycznymi. Miał skalania, obserwujemy raczej postęp procesów dezintegracyjnych, poszczególne grupy zamknięte w sobie, stroniące od działania na rzecz zbliżeń międzyśrodowiskowych.

Niedawno w pewnym mieście wojewódzkim, gdzie dopiero powstają wyższe uczelnie, powiedziano na okolicznościowym spotkaniu, że klimat życia intelektualnego tworzą uniwersytety. Tam, gdzie nie ma wyższych uczelni, nie wytwarzają się warunki, sprzyjające ożywionemu życiu umysłowemu. Samo istnienie grup artystycznych jeszcze nie wystarczy.

W Łodzi mamy wszelkie warunki po temu, aby rozwijało się bujnie życie intelektualne i życie artystyczne we wzajemnej symbiozie. Potężne (liczebnie i jakościowo) środowisko plastyczne, niemałe środowisko literackie, dziennikarskie, teatralne i muzyczne, zasobne środowisko naukowe, związane z pracą instytutów i wyższych uczelni. Wreszcie armia młodziaków akademickiej — dziś odbiorcy, jutro — twórcy i współtwórcy nowych wartości.

Czegóż więc życzyć sobie w nowym roku akademickim? Niechaj wyręczy nas w tym Adam Naruszewicz:

Mości panowie studenci,

Życzę większej do nauk wam przykładacie chęci.

J. K.

NOWY KLIMAT, NOWE SPRAWY

ROZMOWA Z SEKRETARZEM KOMITETU ŁÓDZKIEGO PZPR — TOW. BOLESŁAWEM KAPITANEM

— Kampania przedzjazdowa w bieżącym roku odbywa się w nowych warunkach, w nowym klimacie, sięga głębiej niż kiedykolwiek w problematykę życia społeczno-gospodarczego i wymaga poważnego, przemyślanego działania. Czy łódzka instancja partyjna jest do niej przygotowana?

— Sądzę, że tak. I to chyba, jak nigdy dotąd. Przede wszystkim dlatego, iż obok Wytycznych Komitetu Centralnego PZPR na VI Zjazd partii, zawierających nasze narodowe aspiracje i nadzieje, mamy także własny, łódzki program perspektywicznego rozwoju społeczno-gospodarczego. Wszechstronny program, o który z takim uporem walczyliśmy przez całe lata. Został on zaakceptowany przez Biuro Polityczne i jego urzeczywistnienie rozwiąże nam wiele problemów nabrzmiałych i nawarstwianych latami. Fakt, że mamy tę wizję rozwoju miasta w pięcioletciu, i później, jest nam pomocny w rzeczowym i twórczym ukierunkowaniu dyskusji przedzjazdowej. W tej ogólnopartyjnej i ogólnonarodowej debacie radzimy się mieszkańców Łodzi jak najlepiej urzeczywistnić nasz program, jak ulepszać nasze życie. O powodzeniu w tej wielkiej sprawie zadecydują: postawa, zaangażowanie i rzetelna praca obywateli Łodzi. Pracuje się wydatnie i z sercem, jeśli się wyraźnie widzi cele tej pracy. Jesteśmy świadomi tych celów. Tę świadomość musi też mieć każdy organizator dyskusji przedzjazdowej, każdy aktywista partyjny i bezpartyjny, każdy organizator pracy partyjnej.

Dyskusja przed VI Zjazdem partii jest traktowana jako dyskusja wewnątrzpartyjna, ale też i ogólnonarodowa. Towarzysz Jan Szydłak na sierpniowym plenarnym zebraniu Komitetu Łódzkiego podkreślił, że jest to naj-

bardziej demokratyczna konsultacja społeczna, jaką zna praktyka życia społecznego. Nie przesadzaj więc, jeśli powiem, że jest to konsultacja Komitetu Centralnego z całą partią i konsultacja partii z całym narodem, na temat wytycznych dalszego socjalistycznego rozwoju Polski Ludowej.

Pragnę podkreślić, że Wytyczne mają charakter alternatywny, każdy więc może wnieść swoją cegiełkę, może być współtwórcą programu socjalistycznego rozwoju ojczyzny.

— Czy dialog partii ze społeczeństwem na tak szerokim froncie pozostanie już trwałą formą nowego stylu pracy instancji partyjnych wszystkich szczebli?

— Bez wątpienia. Kierownictwo partii świadomie idzie na tak szeroki demokratyzm. Ta forma konsultacji weszła już na trwałe nie tylko do partyjnego, lecz także i do państwowego systemu działania. Robimy wszystko, aby przedzjazdowa debata ogarnęła maksymalną ilość obywateli. Aby dialog ten poruszył wszystkich, którym dobro naszego kraju leży na sercu.

— To nie jest, rzecz jasna, jedynym celem kampanii przedzjazdowej.

— Oczywiście, że nie. Obok wzbudzenia szerokiej wymiany myśli w ważnych sprawach naszej partii, kraju i naszego miasta, mamy też na uwadze, może nawet przede wszystkim, rozbudzenie wewnętrznej potrzeby konkretnego działania w rozwiązywaniu spraw dużych i mniejszych, natchmiastowego wprowadzania w życie wniosków, które padną w tej ogólnopartyjnej i ogólnonarodowej dyskusji. Chodzi więc o skrzętne wylawianie z tej debaty wszystkich problemów, nurtujących ludzi pracy i załatwianie ich ważnych spraw życiowych — jeśli tylko będzie to możliwe — w trybie natchmiastowym. W Łodzi mamy wiele do zrobienia, na przykład w dziedzinie gospodarki komunalnej i szeregu innych. Okres przed VI Zjazdem jest więc wspaniałą okazją do powszechnego udziału mieszkańców Łodzi w realizacji zadań, w doskonaleniu konkretnej pracy nad polepszeniem działalności gospodarczej, organizacyjnej i polityczno-wychowawczej.

— Towarzyszu Sekretarzu, czy w tej pięknej idei podejmowania czynu zjazdowego nie pojawia się element, formalizujące kampanię przedzjazdową?

— Nie chodzi tu o czyn za wszelką cenę, nie chodzi tylko o dodatkową produkcję w celu pełniejszego zasp-

Dalszy ciąg na str. 3



Tradycyjnie — we wrześniu otwarta została sesja Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wprawdzie do debaty generalnej przystąpiono dopiero w poniedziałek, jednak już wcześniej, w Komisji Ogólnej ONZ rozegrała się ważna batalia polityczna. Zadaniem tej Komisji jest bowiem przygotowanie porządku dziennego sesji, a więc również ustalenie kolejności, w jakiej poszczególne sprawy mają być rozpatrywane. Jak było do przewidzenia, kontrowersje wywołała reprezentacja Chin na forum ONZ. Oprócz rezolucji 18 państw, zwanej potocznie albańską, która zaleca przyjęcie Chińskiej Republiki Ludowej do ONZ z jednoczesnym usunięciem z tej organizacji przedstawicielstwa Tajwanu — Stany Zjednoczone zgłosiły teraz drugi projekt. Zmierzają one do wprowadzenia ChRL do ONZ, zapewnienia jej miejsca wśród 5 stałych członków Rady Bezpieczeństwa, ale równocześnie — pozostanie w ONZ — reprezentantów Tajwanu.

Na posiedzeniu Komisji Ogólnej przedstawiciel USA uciekł się do manewru proceduralnego. Zażądał, aby projekt amerykański rozpatrywano w pierwszej kolejności. Drugi jego wniosek postulował umieszczenie obu projektów rezolucji w jednym punkcie porządku dziennego. Zaciekle debata, a następnie głosowanie przyniosło takie rezultaty: rezolucja 18, przegłosowana w pierwszej kolejności, włączona została do porządku dziennego większością 17 głosów, przeciwko 2 i przy 4 wstrzymujących się, amerykańska — większością 11 głosów, przy 9 przeciwko i 4 wstrzymujących się. Druga propozycja USA, aby połączyć

oba projekty w jednym punkcie, nie uzyskała poparcia większości — odrzucono ją 12 głosami przy 3 wstrzymujących się (za przyjęciem głosowało 9 państw). Choć więc ostatecznie Zgromadzenie Ogólne rozpatrywać będzie dwie propozycje, jednak NIE WSPÓLNIE, co w kołach ONZ ocenia się jako poważną porażkę Stanów Zjednoczonych.

Debata nad obu projektami odbędzie się w połowie października. Jaki przyniesie wynik — w pewnej mierze może zależeć od biegu wydarzeń w Pekinie.

W tym miejscu pozwólmy sobie na pewną dygresję. Otóż ostatnie dni przyniosły w prasie światowej FAŁĘ SPEKULACJI na temat zmian w kierownictwie KPCh i ChRL. Bezpośrednią tego przyczyną było odwołanie tradycyjnej manifestacji w Pekinie z okazji rocznicy proklamacji Republiki. Szybko do tego faktu agencje zachodnie dołączyły wiadomości o nakazie powrotu do koszar wszystkich urlopujących żołnierzy chińskich, tu i ówdzie zdejmowaniu portretów Mao Tse-tunga i jego chorobie. Dementi w tej ostatniej sprawie nie zahamowały pogłosek, choć częściej zaczęto mówić już nie o chorobie, ale „przegrupowaniu sił” w chińskim kierownictwie. Ile w tym wszystkim prawdy — trudno dociec. Być może, że wyjaśnienie przyniosą najbliższe dni. Zwłaszcza 1 października — dzień powstania ChRL.

A teraz powróćmy do tematu, czyli do sesji ONZ. Ostatecznie jej porządek dzienny składać się będzie z 97 punktów. Z pewnością największe zainteresowanie budzić będzie radziecki wniosek, zaaprobowany większością głosów przez Komisję Ogólną, o zwołanie światowej konferencji rozbrojeniowej, debata bliskowschodnia oraz, ale to dopiero w grudniu, wybory nowego sekretarza generalnego ONZ.

Z porządku dziennego wyłączono natomiast problem koreański. Na następną sesję — w myśl propozycji krajów socjalistycznych — mają być zaproszone delegacje obu państw koreańskich z prawem zabierania głosu. Przyjęcie tego wniosku ocenia się jako PIERWSZY POZYTYWNY KROK na drodze rozwiązania problemu.

W sumie — sesja zapowiada się bardzo ciekawie i będzie na pewno wykładnikiem aktualnej sytuacji

międzynarodowej i stosunków między wielkimi mocarstwami.

Z jej początkiem zbiegło się POROZUMIENIE MIĘDZY ZSRR i USA na temat podjęcia przez obie strony środków dla zapobieżenia przypadkowemu lub nie mającemu sankcji użyciu broni jądrowej oraz o usprawnieniu „gorącej linii” łączności między obu supermocarstwami. Porozumienia mają być podpisane 30 września w Waszyngtonie. Z dotychczasowych informacji wiemy, że o treści pierwszego stanowią postanowienia o:

- wystrzeganiu się przypadkowego użycia broni nuklearnej;
- wzajemnym zobowiązaniu się do szybkiego kontaktu, gdyby powstało niebezpieczeństwo wojny nuklearnej;
- informowaniu się wzajemnie o planowanym wystrzeleniu niektórych rakiet.

Drugie porozumienie włącza do systemu „gorącej linii” łączność satelitarną, co zwiększa szybkość i pewność połączenia.

Zbieżnie z podaniem do publicznej wiadomości powyższych postanowień ogłoszono także komunikat o kolejnej rundzie rozmów SALT (ograniczenie zbrojeń strategicznych). Komunikat nie przynosi żadnych konkretnych decyzji, ale jest W SWEJ WYMOWIE OPTYMISTYCZNY. Rozmowy, które tym razem prowadzono w Helsinkach, wznowione zostaną już 15 listopada w Wiedniu.

I jeszcze kilka słów o innym, żywo komentowanym wydarzeniu. Przed dwoma tygodniami pisaliśmy na tym miejscu o bogato zapowiadającym się kalendrzemu wizyt w okresie jesiennym. Pierwsza z nich — Leonida Breżniewa w Belgradzie doszła właśnie do skutku. W komentarzach podkreśla się, że od trzech lat po raz pierwszy radziecki i jugosłowiański przywódca partii podjęli bezpośrednią rozmowę. Opublikowane wspólne oświadczenie stwarza podstawy pogłębienia między państwowych i międzypartyjnych stosunków, zapowiada OCIEPLENIE na linii Moskwa — Belgrad.

W. ŚLAWSKI

TERESA WOJCIECHOWSKA

Muzyczni goście

Zgodnie z tradycją poprzednich lat, tegoroczny wrzesień był miesiącem atrakcji muzycznych wysokiej klasy. Po powrocie z późnego urlopu, zdążyłam jeszcze na sobotni (18.IX.) koncert w Filharmonii Łódzkiej. Wspaniały koncert, którego bohaterami byli Czajkowski, Malcużyński i Kachidze. Dwa wielkie dzieła Piotra Czajkowskiego: Symfonia Patetyczna i Koncert b-moll znalazły na estradzie Filharmonii Łódzkiej wykonanie godne najwyższej oceny. Grana w pierwszej części koncertu „Patetyczna” była istną rewelacją, a główna to zastęga Dżansuga Kachidze, dyrygenta gruzińskiego, który rozpoczyna już drugi sezon współpracy z Teatrem Wielkim w Łodzi. Podziwiałam już niejednokrotnie kunszt artystyczny w trudnej sztuce

prowadzenia przedstawienia operowego, ale przecież dopiero tu, na estradzie filharmonicznej, pełnym blaskiem zabłysła wielka indywidualność muzyczna, znakomite opanowanie warsztatu, niepowszedni talent Kachidze. Swoją interpretacją „Patetycznej” dyrygent ten porwał publiczność, porwał zapewne i orkiestrę, która zaprezentowała jedno ze swych najlepszych wykonań. Chciałoby się widzieć tego artystę częściej na estradzie Filharmonii.

Druga część wieczoru uświetniona była występem Witolda Malcużyńskiego — w Koncercie fortepianowym b-moll Czajkowskiego. Jestem entuzjastką talentu tego światowej sławy pianisty, jego szkoły interpretacyjnej, wolnej od błyskotliwych popisów technicznych, podporządkowa-

nej ogólnej koncepcji dzieła, cechującej się głębokim, dynamicznym brzmieniem.

Kolejną atrakcją wrześniową był występ w Teatrze Wielkim zespołu baletowego Deutsche Oper am Rhein — zachodniemieckiego teatru operowego z Duesseldorfu — Duisburga. Przybyli na Warszawską Jesień teatr, dał w stolicy dwa przedstawienia operowe: „Wozzeck” Berga i „Zołnierze” Zimmermanna. Do Łodzi, jaką siedzibą festiwalu baletowych, przywiózł dwa spektakle baletowe: „Cztery pory roku” Vivaldiego i „Święto wiosny” Strawińskiego.

Wizyta Opery znad Renu była pierwszym występem teatru zachodniemieckiego w Polsce i w krajach naszego obozu w ogóle. Nasi goście przywiązywali więc do tej wizyty znaczenie szczególne.

Deutsche Oper am Rhein utrzymywana przez dwa miasta — Duesseldorf i Duisburg (15 milionów marek rocznej dotacji) reprezentuje wysoki poziom wykonawczy, jest placówką wysokiej rangi. Na dwóch scenach daje około 450 przedstawień rocznie, ma dwa

zespoły orkiestrowe i dwa baletowe, zatrudnia 85 solistów dwudziestu narodowości, wśród nich Polaków (obecnie członkiem zespołu solistów tej opery jest Bogna Sokorska). Zaś stanowisko generalnego dyrygenta zajmuje od ubiegłego sezonu Henryk Czyż, który prowadził orkiestrę i w Polsce. Nota bene w Łodzi jego pojawienie się przy pulpicie dyrygenckim było zdaje się jedną z większych atrakcji dla publiczności, która witała dyrygenta wręcz owacyjnie. Jak widać oddziaływanie nie zapominają tych, którzy do ich życia kulturalnego wnieśli cenne wartości.

O Czyżu będziemy jednak mieli okazję pisać wkrótce z racji premiery jego „Białowosej” w Teatrze Wielkim, wróćmy więc do Oper am Rhein. Repertuar tego teatru, wystawiającego 12 premier rocznie, obejmuje około 50 pozycji operowych i 12 baletowych o bardzo szerokim wachlarzu — od klasyki po moderne. A więc Mozart i Schoenberg, Puccini i Menderecki, Verdi i Britten, Monteverdi i Ravel. Repertuar baletowy jest tworzony również do muzyki

symfonicznej: Vivaldiego, Beethovena, Brahmsa i in. A realizacja zarówno oper jak i baletów także bardzo różnicowana, od koncepcji tradycyjnych po całkowicie nowoczesne.

Prasa warszawska z dużym uznaniem recenzowała przedstawienia pokazane w stolicy, podkreślając wysoki kunszt wykonawczy zespołów i solistów. Nam przyszło obejrzeć balety. Niewątpliwie cały zespół stoi na wysokim, wyrównanym poziomie technicznym, ma świetnych (również międzynarodowych) solistów jak Joan Cadzow, Renate Depisch, Tilly Soeffing, Peter Breuer, Petr Vondruska i inni. Prezentując Vivaldiego i Strawińskiego kierowano się zapewne chęcią pokazania szerokiej możliwości technicznych zespołu i cel ten został osiągnięty. Wydaje się jednak, że balet Deutsche Oper am Rhein czuje się lepiej w tańcu nowoczesnym niż klasycznym.

„Cztery pory roku” (choreografia: Erich Walter, dekoracje: Bernard Schultze, kier. muzyczne: H. Czyż) utrzymane były w konwencji tańca

czysto klasycznego — najtrudniejszego chyba, bo wymagającego idealnej precyzji, czystości wykonania. I ponieważ spodziewaliśmy się wiele, dlatego zespół trochę rozczarował. Był sprawny technicznie, ciekawy w układach choreograficznych, ale jakby pozbawiony cech indywidualnych, laboratoryjny, odindywidualizowany.

Znacznie ciekawiej wypadło „Święto wiosny” (choreografia: Erich Walter, dekoracje: Heinrich Wendel, kier. muz.: H. Czyż), gdzie interesująca koncepcja choreograficzna dzieląca balet na dwie grupy: męską i żeńską, podporządkowana burzliwej, wspaniałej muzyce Strawińskiego, ożywiła balet, wyzwoliła w nim żywiołowy temperament, dała widowni naprawdę wartościowe i interesujące.

Dobrze się zaczął tegoroczny sezon muzyczny. Tyle, że co roku dobrze się zaczyna, później bywa różnie. Na razie więc pozostaje czekać co pokazuje nam Filharmonia pod nowym kierownictwem artystycznym, co przyniosą premiery Teatru Wielkiego i Muzykalnego.

ANDRZEJ LIPIŃSKI

Co jest z kulturą tego miasta?

Chciałbym zaproponować, nim przystąpimy do odczytania poszturchiwania innych, byśmy pomyśleli sobie jakich to ludzi potrzebujemy do organizacji kultury, jakim celem ta organizacja ma zostać podporządkowana? Trudność zadania potęguje to, że absolutnie nie zdajemy sobie sprawy nie tylko z tego, co jest celem, ale nie wiemy zupełnie jak ten cel realizować. Nie wiemy co, nie wiemy jak i nie wiemy komu. Ba, my nawet nie wiemy gdzie.

Istnieje takie powiedzenie, że Łódź to miasto, które wodociąg ma w Tomaszowie, dworzec w Kozłuskach, a lotnisko w Warszawie. Trochę śmieszne, trochę koczmarne. Zaczniemy zatem od rozwiązania pierwszego supla: jakie jest to miasto? Bowiem jeśli nawet w Filharmonii będzie dyrygował orkiestrą z Minneapolisa Herbert von Karajan, to człowiek jadący do pracy powolnym (do 12 km na godz.) tramwajem, do te-

go zatłoczonym (od 17 do 30 osób na m kw), pracujący forsownie w szkodliwym (fizycznie, biologicznie, chemicznie) pomieszczeniu, zmuszony po pracy do kupna tego, co jest (sprzedaż w usp. handlu det. 3,6; w Warszawie 8,2) w ciasnym i dusznym sklepie (72 proc. ma powierzchnię poniżej 50 m kw), wracający do zatłoczonego (1,78 osoby na izbę) i niefunkcjonalnego mieszkania (w 1959 r. 125 tys. izb wymagało kapitalnego

remontu, 129 tys. izb należało wyburzyć), raczej nie będzie marzył o dostaniu się na ów koncert. Jeśli jeszcze ów człowiek zarabia nieco mniej niż przeciętna dla Polski, to chyba słuszny będzie wniosek, iż strategia wyboru tego, w czym mu się proponuje uczestnictwo, winna być szczególnie staranna. Zarazem winniśmy stale o tym pamiętać, iż znaczenia miasta w hierarchii rang obiektywnie istniejących nie zmieni nawet zlokalizowanie tutaj połączonego zespołów Petera Brooka i Jerzego Grotowskiego, wspartych Marcelem Marceau i pantomimą pana Tomaszewskiego.

Znaczenie miasta ustanawiają przede wszystkim, w porządku ważności: rodzaje egzystencji mieszkańców, poziom rozwoju instytucji społecznych, system działań administracyjnych, społeczna aktywność oraz stan informacji kulturalnej. Zgodzimy się chyba z założeniem, że i te wyliczone jakości są poniżej przeciętnej. A wszystko to wspiera mój sąd, iż strategia wyboru treści kultury — jeśli nawet nigdzie w Polsce nie obowiązują, właśnie tutaj winna być rzetelna i dobra.

Ze tak nie jest, że i u nas dokonuje się wyborów intuicyjnie („kto by na kulturze się nie znał”), przykładów są setki. Wymienię dwa, kiedy można było natchnąć wyliczyć straty finansowe, choć szkody społeczne są bez porównania większe: nie doszły do skutku w Ło... recital

ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

francuskiego plesniarza Gilberta Beaud, który z „braku chętnych” trzeba było odwołać oraz kompromitujący, bo przy pustej sali, koncert orkiestry francuskiej (ORTF). Wybór z rozdzielnika, przy zupełnym niedowładzie organizatorów informacji kulturalnej, zawodził zupełnie.

Mieszkańcy tu zasiedleni — by nie jątrzyć: zasiedleni dawniej — do tego miasta nie chcieli przyjąć, by awansować. Musieli przyjąć, bo konieczne było odrzucenie dotychczasowego bytowania. A zatem wybór osadzenia się w mieście był (jest) wyborem negatywnym. Pamiętajmy, że nawet migracja osiedleńcza daleka była od tego, co przywykliśmy uważać za „miarę normalną”: w 1939 r. — 680 tys. mieszkańców w 1945 r. — 250 tys., w 1950 — 612 tys. Daleka choćby dlatego, że w tymże 1950 roku odchodzi 143.942 osoby; są to przede wszystkim ci, którzy umożliwili zrealizowanie nowych funkcji miastotwórczych: organizowali administrację, instytucje naukowe, zaplecze oświatowe i wyposażenie kulturalne Łodzi.

Nasz partner-odbiorca, który ustala sens naszego działania, ży-

je więc w warunkach trudnych i ma świadomość negatywnego środowiska osobniczego. Tak „się składa”, że to środowisko przekształcamy zbyt wolno. Tutaj sensownym staje się pytanie, czy zatem nie powinniśmy proporcjonalnie szybciej zmieniać zawartości symbolicznej, wzmacniać znaczenia symboli tu powielanych w treściach kultury, które intuicyjnie uznaliśmy za dobre. Rozumiem to w ten sposób, że np. na jeden występ Marimby (zespół hawajskich gitar) winniśmy odpowiedzieć kilkoma koncertami orkiestry łódzkiego radia. Jeśli tego nie robimy, pozbawiamy odbiorcę możliwości ukształtowania swojej świadomości krytycznej. A nie robimy dlatego, ponieważ aparat organizacyjny kultury dziś w tym mieście pozostaje w swym modelu na poziomie Ziemiankiego Towarzystwa do Spraw Popierania Lotów „Aviata”. Konieczność budzenia potrzeby coraz to innych symboli w proponowanym przekazie, konieczność kształtowania świadomości krytycznej, oceniającej jakość tych

Dalszy ciąg na str. 4

(Dalszy ciąg ze str. 1)

kojenia naszych potrzeb, lecz o spontaniczny ruch oddolny. Odgrywa on wielką rolę polityczną i wychowawczą. Czyn zjazdowy należy rozumieć jako jedną z najwyższych form świadomości politycznej. Jest to bowiem świadome podjęcie decyzji, wypływające z głębokiego przekonania o potrzebie takiej formy manifestacji politycznej, dającej określone efekty.

W Łodzi mamy już dziesiątki, a nawet setki przykładów autentycznego ruchu w podejmowaniu Czynów, o czym informuje codzienna prasa. Jest to oddolny zryw patriotyczny ludzi pracy, świadczący o pełnym zrozumieniu idei podejmowania zobowiązań z okazji VI Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

— Jakże jeszcze inne cele pragnie osiągnąć łódzka instancja partyjna w toku kampanii przedjazdowej?

— Mnóstwo.

— Ale najważniejsze?

— W toku dyskusji będziemy dążyli do intensyfikacji pracy nad dalszym umacnianiem kierowniczej roli łódzkiej organizacji partyjnej, doskonaleniem stylu i metod naszej pracy, wychowaniem ideowym, podnoszeniem poziomu i aurytety POP, nad umacnianiem więzi z bezpartyjnymi. Będziemy szeroko informować społeczeństwo Łodzi o naszych poczynaniach i urzeczywistnianych wnioskach. Będziemy się również radzić ludzi pracy, konsultować w sprawach obchodzących najszerszą warstwę łódzkiego społeczeństwa. Zechcemy też maksymalnie rozwijać inicjatywy społeczne, zmierzające, między innymi, do uruchomienia rezerw produkcyjnych, podniesienia dyscypliny pracy.

Innym bardzo ważnym zadaniem jest wybór delegatów na VI Zjazd partii. Delegatów, którzy będą autentycznymi, reprezentatywnymi przedstawicielami łódzkiej organizacji partyjnej. Pragniemy, żeby to byli ludzie o dużych walorach ideowych, żarliwi w realizacji zadań, które partia obecnie stawia. Będziemy ich pokazywać i popularyzować.

— Towarzyszu Sekretarzu, niedawno odbyły się rozmowy z członkami i kandydatami partii. Czy pomogły one łódzkiej instancji partyjnej w przygotowaniu dyskusji przedjazdowej?

— Z całą pewnością. Rozmowy spowodowały większą konsolidację łódzkiej organizacji partyjnej, umocniły jej ideologicznie i organizacyjnie, wpłynęły na wzrost aktywności politycznej. Sporo ludzi opuściło szeregi partii z różnych powodów osobistych. Sporo z partii odejść musiało, ponieważ podrywali jej aurytet, a nawet niekiedy ją kompromitowali. Rozmawialiśmy

nie tylko z tymi, którzy w konsekwencji musieli oddać legitymacje partyjne, ale również z towarzyszami, których prosiliśmy o radę, propozycje i inicjatywy. I trzeba powiedzieć, że zdobyliśmy wiele cennych wniosków i uwag, dotyczących zwłaszcza pracy wewnętrznej, co jest dużą pomocą w usprawnieniu naszego systemu działania. Wyraźnej poprawie ulega dyscyplina partyjna i zawodowa. Zwiększa się aktywność szeregowych członków partii. Z całą więc pewnością można mówić o poważnym kroku naprzód.

Rozmowy, które były no-

zurnych, skromnych, pracowitych, zwykłych ludzi, ale jednocześnie pryncypialnych, zaangażowanych politycznie i oddanych sprawie socjalizmu. Jest to ogromny skarb, który zdobyliśmy w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Będziemy nadal poszerzać ten aktyw o ludzi zdolnych, uczciwych, cenionych, skromnych, cieszących się zaufaniem. Dokonałmy np. ostatnio oceny partyjnego aktywu robotniczego i w jej wyniku nastąpiło rozszerzenie składu KSR o ten właśnie aktyw. Dokonano tych posunięć w ponad pięćdziesięciu jednostkach gospodarczych. Przejrzeliśmy

matu jest procesem długotrwałym, który z wolna obejmuje coraz szersze kręgi społeczeństwa, który odbywa się także w świadomości ludzi. Zdajemy sobie sprawę, że sam klimat, sama atmosfera nie wystarczą. Muszą iść za tym konkretne działania. Na naradzie i sekretarzy komitetów powiatowych tow Edward Gierka mocno podkreślił, że wszystko, o czym mówiono na VII i VIII plenarnych posiedzeniach KC, będzie konsekwentnie urzeczywistniane. Będziemy więc i my iść konsekwentnie tą wytkniętą drogą.

— Ta konsekwencja obowiązuje wszystkich. Od góry do dołu.

— To jest jasne. Obowiązuje ona nie tylko Komitet Centralny Partii, i nie tylko łódzką instancję partyjną, lecz obowiązują całą partię, wszystkich jej członków, wszystkie instancje partyjne do POP włącznie, wszystkie jednostki gospodarcze, zakłady pracy, instytucje i organizacje społeczne. Jeżeli chodzi o Komitet Łódzki PZPR, to ta konsekwencja w działaniu jest wyraźnie widoczna i kto chce, dojrzy ją z łatwością. Przez te niespełna pół roku łódzka instancja partyjna zrobiła dużo, nie szczędząc ani czasu, ani ogromnego wysiłku. Na przykład w dziedzinie poprawy warunków pracy, warunków socjalno-bytowych łódzkiej klasy robotniczej. Robotnicy wiedzą o tym najlepiej. Nie przesadzajmy trochę, jeśli powiem, iż w przeciągu kilku miesięcy zrobiono w Łodzi więcej, niż na przestrzeni ostatnich kilku lat. Zrealizowaliśmy około 70 proc. wszystkich wniosków i postulatów, wysuniętych w lutym i marcu br. przez załogi łódzkich fabryk. Niemniej pozostało do załatwienia jeszcze wiele trudnych spraw, nawarstwianych latami. Nie mogą one być załatwione już dziś, ale załatwione będą na pewno w najbliższej przyszłości. Mammy też wiele spraw, będących w trakcie załatwiania, na przykład w dziedzinie kultury, oświaty, gospodarki komunalnej, handlu, zaopatrzenia, porządku i bezpieczeństwa publicznego itp. Sporo robimy w dziedzinie modernizacji, rekonstrukcji i rozbudowy łódzkiego przemysłu, jednocześnie unowocześniając jego strukturę. Zamierzenia dalszego społeczno-gospodarczego rozwoju Łodzi zawarte są w specjalnym programie, którego urzeczywistnienie rozwiąże nam wiele problemów nabrzmiałych i nawarstwionych latami. Dajmy też uparcie, i chyba z dobrym skutkiem, do całkowitego usunięcia formalizmu i schematyzmu z pracy wszystkich ogniw naszej partii, pragniemy widzieć wszystkich członków partii przy usuwaniu istniejących trudności bezkompromisowych i szczerych w działaniu, tak postępujących, aby wzbudzi

dział szacunek i zaufanie bezpartyjnych.

— W powszechnym odczuciu daje nam się jeszcze we znaki biurokracizm, panujący w administracji terenowej i gospodarczej.

— Niestety, formalizm, biurokracizm i bezdusność pokutują jeszcze w wielu urzędach, instytucjach i zakładach pracy. Widzimy te zjawiska — relikty odchodzącej przeszłości, walczymy z nimi, usuwamy je stopniowo i nieustannie. Zmiany na lepsze są jednak za mało odczuwalne i z tym się godzić nie możemy. Niezbędne są tu zaangażowanie i walka zarówno członków partii, jak i bezpartyjnych. Apelujemy o konsekwencję w usuwaniu zła. Niech każdy na swoim odcinku pracy, w swoim środowisku, konkretnym czynem i działaniem urzeczywistnia nasze, przecież wspólne pragnienie. Okres przed VI Zjazdem partii jest dobrą do tego okazją.

— Z zamierzeń łódzkiej instancji partyjnej wiadom, że obecna dyskusja przedjazdowa jest w Łodzi bezprecedensu. Biorąc jednak pod uwagę — z jednej strony ogromną skalę tej ogólnoobywatelskiej debaty, a z drugiej — niewiele czasu, jaki nas dzieli od Zjazdu, wyłania się niebezpieczeństwo, że tu i ówdzie mogą się ujawnić tendencje do formalistycznego potraktowania spotkań, rozmów, dyskusji.

— Nie możemy dopuścić i nie dopuszczymy do formalizowania zebrań, czy splotania dyskusji. Chodzi przecież o sprawy wielkie, sprawy nasze. Rzetelne organizowanie dyskusji, dobra praca i wysoka wydajność oraz ciepłota i zażyłość w interesie zła leżą przecież w interesie każdego obywatela, w interesie nas wszystkich. Jest to, jak sądzę, najlepsza gwarancja zabezpieczająca dobre wyniki. Łódzka instancja partyjna zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby zapewnić dobry klimat dla tej ogólnonarodowej debaty, jak też jej sprawną organizację. Teraz wszystko zależy od poszczególnych ludzi, od aktywności i organizatorów pracy przedjazdowej.

— Czy instancja przewiduje jakieś inne formy nawiązania dialogu ze społeczeństwem?

— Zamierzamy zwrócić się do różnych środowisk łódzkich oraz do indywidualnych mieszkańców miasta, reprezentujących różne zawody, partyjnych i bezpartyjnych, z prośbą o wypowiedzenie się na temat działalności naszej gospodarki miejskiej, życia kulturalnego w mieście, handlu, nauki i oświaty, porządku i bezpieczeństwa itp. Będzie to jeszcze jedna z form zasięgnięcia rady i opinii oraz pomocy tych środowisk i ludzi je reprezentujących. Mammy duże ambicje dobrego przygotowania tej wielkiej, szczerzej, otwartej rozmowy i uwa-

żamy to zamierzenie za realne. Mammy przecież w Łodzi prężne środowisko artystów, inżynierów i techników, naukowców, literatów, ludzi teatru i filmu, posiadamy kilkusetletnią armię robotników, którzy swym codziennym trudem pomnażają zasoby naszego kraju i miasta.

— Z pewnością rozwinię się też szeroka dyskusja na temat raportu komisji partyjno-rządowej, dotyczącego programu rozwoju Łodzi?

— Niewątpliwie. Program rozwoju naszego miasta jest naszym wspólnym programem. Nie ma chyba w Łodzi człowieka pracy, który by nie przyłożył do niego ręki. Przecież program jest owocem inspiracji naszego grodu, ich wieloletniego wysiłku, który dopiero po VII Plenum KC znalazł pełne zrozumienie i poparcie najwyższych władz partyjnych i państwowych. W tworzeniu tego programu uczestniczyły liczne kolektywy, setki specjalistów, instancja partyjna, nie mówiąc już o długich i nieraz trudnych dyskusjach w ramach szerokiego zespołu.

— Jakże dezycydaty w zakresie nauki i oświaty wysunie łódzka instancja partyjna podczas dyskusji w tych środowiskach?

— Będziemy postulować łączenie potrzeb życia gospodarczego z osiągnięciami w dziedzinie oświaty i nauki. Pragniemy, na przykład, pełnej integracji nauki z potrzebami łódzkiego przemysłu. Zależy nam, aby osiągnięcia łódzkich naukowców, wyniki ich badań i pracy naukowej służyły interesom naszego miasta w większym stopniu, niż dotąd.

Srodowiska twórcze chcemy zainteresować najistotniejszymi sprawami życia kulturalnego w naszym mieście, wspólnym tworzeniem nowych form pracy kulturalnej, szerszym oddziaływaniem środowisk twórczych na całą łódzką społeczność. Liczymy na to, że będą one podejmować decyzje, które pomogą pracy twórczej, stworzą dobry klimat dla kulturalnego rozwoju miasta.

W środowiskach pracowników nauki i oświaty będziemy postulowali ulepszenie procesów dydaktycznych oraz podniesienie rangi i roli łódzkiego środowiska akademickiego.

Jesteśmy przekonani, że określone cele osiągniemy, że stojące przed nami zadania — przy aktywnej pomocy mieszkańców miasta — pomyślnie rozwiążemy. Wierzymy w mądrość ludzi pracy, w mądrość kolektywów. Odwołujemy się do wszystkich obywateli Łodzi, robotników i inteligencji, do kobiet i młodzieży o wzięcie udziału w tej ogólnopartyjnej i ogólnonarodowej debacie.

— Dziękuję za interesującą rozmowę.

Rozmawiał:

Włodzimierz STOKOWSKI

NOWY KLIMAT, NOWE SPRAWY

wą formą wewnątrzpartyjnej wymiany poglądów i w konsekwencji zmierzamy do umocnienia aurytety partii we wszystkich dziedzinach łódzkiej rzeczywistości, stały się odtąd stałą metodą pracy partyjnej. Jasne, że mogą się jeszcze w partii znaleźć ludzie przypadkowi, ale wcześniej czy później znajdą się oni poza nią. W tej wszechstronnej pracy, konsolidującej szeregi partyjne, znajdujemy powszechne poparcie najszerszych rzesz członków i kandydatów partii, a także bezpartyjnych obywateli naszego miasta, co w znacznym stopniu sprzyja naszemu wszechstronnemu działaniu przed VI Zjazdem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

Należy również mocno podkreślić, że w Łodzi mamy dobry, wartościowy aktyw partyjny, który zdał egzamin w najtrudniejszych chwilach. Jest oddany partii i narodowi. Towarzyszom tym należą się słowa głębokiego szacunku i szczerzego podziękowania za ich postawę i ofiarną pracę. Liczymy też bardzo na jego nieustanną pomoc w całokształcie prac przygotowawczych do VI Zjazdu.

Będąc już przy tych sprawach, pragnę również wspomnieć, że nasz aktyw partyjny i bezpartyjny został znacznie rozszerzony i odnowiony. Poszerzony o kadrowych robotników, ro-

także składy osobowe komisji i w wyniku tej analizy wprowadziliśmy do nich wielu doświadczonych i wartościowych robotników. Obecnie, około 40 proc. osobowego składu różnych komisji problemowych w komitetach stanowią robotnicy. Towarzysze ci działają w nich w sposób rzeczywisty, a nie formalny, co podnosi aurytet poszczególnych instancji. Z myślą o pracy z tym aktywnym i jego zwiększonej roli i odpowiedzialności, poszczególnie instancje partyjne delegują w tym roku pewną ilość robotników na studia w WUML. Ponadto, w dwunastu największych łódzkich zakładach pracy zostaną utworzone wieczorowe szkoły aktywu partyjnego, w których będą mogli zdobywać wiedzę także i bezpartyjni aktywiści.

— Wszystko to stwarza nową, dobrą atmosferę, która pobudza do cennych inicjatyw, węgla do pracy politycznej i społecznej nowych ludzi, uczciwych i wartościowych.

— To prawda. W kraju, a co za tym idzie i w Łodzi, w wyniku decyzji VII i VIII Plenum Komitetu Centralnego powstały całkiem nowe, pomyślane warunki pracy, jakościowo nowy klimat. Jest to zdrowa i naprawdę socjalistyczna atmosfera.

— Czy jednak panuje ona wszędzie?

— Tworzenie nowego kli-

W tym czasie obszar polskiego ugrupowania dwóch armii został ścięziony do 60 kilometrów w kierunku równoleżnikowym od Kutna po Wyszogród i 40 kilometrów, licząc z północy na południe od Gąbina do Łowicza. Koncepcja bitwy rodziła się w nocy z 14 na 15 września. Główne uderzenie po osi Sochaczew—Blonie powierzył gen. Kutrzeba grupie operacyjnej gen. Knolla, wykonującej w tym czasie okrężny manewr marszowy na tyłach armii „Pomorze”. Grupa ta miała w ciągu 16 września stanąć nad Bzurą, a w nocy z 16 na 17 sforować rzekę i odrzucić nieprzyjaciela z drogi marszu do stolicy. Armia „Pomorze” miała wesprzeć natarcie grupy Knolla uderzeniem swej lewoskrzydłowej 26 skierniewickiej dywizji, a grupa operacyjna Bortucia pozostała w obronie rzeki między Sobotą i Łowiczem, po czym wycofać się za grupą Knolla.

Frontalne uderzenie czterech dywizji grupy armii „Poznań” — „Pomorze” miało być wsparte flankowym natarciem kawalerii i piechoty z południowego skraju Puszczy

Kampinoskiej. W tym celu generał Kutrzeba tworzył nową grupę operacyjną kawalerii pod dowództwem generała Abrahama. W ciągu 15 września miała do niej dołączyć Połdońska Brygada Kawalerii pułkownika dypl. Strzeleckiego w rejonie Brochowa.

Do bitwy „pod Kutnem”, jak Niemcy nazwali ten fragment kampanii, przygotowywał się również sztab grupy armii „Południe”. Generał Rundstedt podzielił południową część frontu na dwa odcinki armijne: na północ od Łowicza włącznie — dla 10 armii, na zachód zaś od Łowicza — dla 8 armii. Od zachodu i północy miał nacierać korpus 4 armii w sile czterech wielkich jednostek. Do sił działających już nad Bzurą 8 armia otrzymywała jako wzmożenie 3 dywizję lekką, a 10 armia przesuwała podległy jej korpus lekkiej Hotha w składzie trzech dywizji (1 i 2 lekkiej i 29 zmotoryzowanej) znad środkowej Wisły na północ — jako drugi rzut natarcia, pomyślanego w formie koncentrycznego uderzenia na siły polskie ze wszystkich stron.

W wykonaniu tej decyzji 8 armia

przystępowała do natarcia już w dniu 15 września, natomiast 10 armia miała dopiero utworzyć przyczółki między Łowiczem i Sochaczewem do uderzenia dwóch dywizji pancernych (1 i 4) w dniu 16 września. Tak więc dopiero trzeciego dnia od chwili zaobserwowania kolumn pancernych w marszu na Sochaczew miały one wziąć udział w przelamującym natarciu nad Bzurą. Czwarty dzień mijał od chwili cofnięcia ich spod Warszawy i Góry, Kalwarji. Czym wylumaczyć to znaczne zwolnienie tempa niemieckich jednostek szybkich? Niewątpliwie częściowym ich zużyciem i brakiem paliwa, a częściowo dzielną postawą obrońców Sochaczewa i Brochowa. Przede wszystkim jednak tym, że na ich drodze stanęła w swym marszu na Warszawę armia „Łódź” i zatrzymała ich marsz, spełniając rolę „cichego sprzymierzeńca” generała Kutrzeby.

Tak więc na linii wodnej Bzury między Łowiczem i Brochowem musiało dojść do bitwy czołowej dwóch

APOLONIUSZ ZAWILSKI

Bitwa nad Bzurą

Bitwa nad Bzurą, największa bitwa kampanii polskiej 1939 roku, jest stosunkowo dobrze znana. Zwłaszcza znany jest jej pierwszy okres (Untejów, Łęczyca, Piątek, Głowno), którego początek zbiegł się w czasie z odparciem szturm pancernego gen. Reinhardta na Warszawę w dniu 9 września i wywarł znaczny wpływ na skuteczną obronę polskiej stolicy. Wynikiem tego pierwszego uderzenia sił armii „Poznań” (trzy dywizje piechoty i trzy brygady kawalerii) było rozbiście lewego skrzydła 8 armii niemieckiej gen. Blaskowitza i posunięcie się na południe od Bzury po Stryków i Ożorków.

Jednakże wobec braku współdziałania innych frontów polskich zwycięskie te działania musiały być przerwane, aby całą akcją dwóch

armii „Poznań” i „Pomorze”, nad którymi dowództwo objął generał Kutrzeba, przenieść bliżej Warszawy.

Generał Kutrzeba nie rezygnował ze swej koncepcji zaczepnego działania, aby marszem przebojowym całością dowodzonych sił (ok. 200 tys. żołnierzy) stanąć pod Warszawą, co doprowadziło do największej bitwy w kampanii wrześniowej, która rozgrywała się równocześnie pod Łowiczem, Sochaczewem i Plockiem (gdzie działała grupa osłonna generała Tokarzewskiego). Ta faza bitwy nad Bzurą jest stosunkowo najmniej znana. Dlatego drukujemy odnoszący się do niej fragment z książki A. Zawilskiego (nota bene uczestnika tej bitwy) pt. „Bitwa polskiego Września 1939 r.”

REDAKCJA

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg ze str. 2

przekazów, staje się tym pełniejsza, im nasze oddalenie od poziomu treści kultury innych centrów staje się coraz większe. Ośmielę się w skrócie tylko opisać to oddalenie: wśród 227.200 osób zatrudnionych w łódzkim przemyśle, tylko 1,9 proc. ma wykształcenie wyższe, 6,7 proc. średnie zawodowe, 10,1 proc. zasadnicze zawodowe, 20,9 proc. nie ma wykształcenia podstawowego. Udział pracowników umysłowych wśród ogółu zatrudnionych w gospodarce miasta wynosi 30 proc. i jest najniższy w grupie miast dużych. Jeśli dodamy do tego, że przemysł włókienniczy jest dzisiaj wskaźnikiem zacofania organizmu gospodarczego, a w Łodzi jest on szczególnie uwikłany w trudności, to wypada zgodzić się, że „praca w kulturze” nie jest przygodą towarzyską, a zadaniem niezwykle odpowiedzialnym. Czy oznacza to, że postęp w naszym działaniu zależy tylko od intuicji i dobrych chęci ludzi zatrudnionych w instytucjach organizujących dla nas kulturę? Sądzę, że nie. Ale chcąc budować styl kultury inny od poprzedniego, winniśmy posiadać znajomość podłoża. A więc czegoś, na czym przyjdzie wznosić chybliwy gmach kultury tego miasta. Wprowadzmy jeszcze jedną informację: odrębność społeczna tego miasta (a więc jego odrębność kulturowa) polega na tym, że ludzie, którzy tutaj żyją, wcześniej i długo zostają podporządkowani środowisku pracy. Rodzaj tego podporządkowania pozwala na sąd, że całkowite osobowości społeczne — to ludzie pracy. Sposób bycia pozostaje zatem prostą zależnością od środowiska pracy.

Kultura fabryki ustala również poziom kultury naszego miasta, bowiem przedsiębiorstwo jako system układów: społecznego, ekonomicznego i technicznego jest częścią całości nazywanej miastem.

Jeśli chcemy nasze działanie zoptymalizować bardziej niż by wynikało to z dyrektyw, winniśmy przed tym działaniem ustalić poziom i znaczenie również kultury fabrycznej. A więc winniśmy znać zwyczajowe i ustalane obyczajem sposoby zachowania podczas pracy w zakładzie, jak również winniśmy zdawać sobie sprawę z możliwości oferowanych jednostce w fabryce, które to możliwości niezbędne są w ustanawianiu zależności jednostki (robotnika) od grupy społecznej (społeczności robotniczej).

Opisując poziom kultury fabrycznej stosujemy kryterium występowania bądź niewystępowania „kultury pracy”. Proponuję pod tym pojęciem rozumieć ocenę własnych jak i innych robotników — czynności i ich efektów nie w kategoriach działań instrumentalnych, ale jako wartości „samej w sobie”. Wartość ta manifestowana jest postawą jednostki wobec rezultatów uzyskanych przez zbiorowość.

Jeśli chcemy dobrze opisać kulturowe znaczenie grupy robotni-

ków, musimy powiększyć ją o zespoły rodzinne. Wówczas dopiero mamy całość społeczną. Dopiero teraz będziemy mogli opisać grupę robotniczą jako całość i ustalić cechy właściwe tej tylko całości. Jeśli ustalimy sposoby egzystencji, wzory obyczajów i normy zwyczajowe, jeśli opiszemy wartości wspólne bądź różne od występujących powszechnie, jeśli uda nam się lub nie — ujawnić występowanie pojęć i zachowań świadczących o istnieniu więzi z człon-

do określenia podstawowego pytania: co my z kulturą mamy robić? Wiemy wprawdzie pobieżnie „gdzie”, nie wiemy „jak”. Zaproponowałbym przyjęcie następujących tez: Łódź jako miasto zamknięte osiągnęła określony poziom rozwoju gospodarczego, wobec którego używamy dziś sformułowania: stagnacja (zacofanie). Miasto nie posiada swego zaplecza regionalnego i zwiększa się tylko liczebnie, bez procesów jednak ruchliwości społecznej.

mysłem i przekazywana dla określonego celu. Tym celem przekazu winny stać się wartości, które wyżej wymieniałem.

Chciałbym teraz odpowiedzieć „jak”. Negatywny stan, który chcemy zmienić, to nikiel związki Łodzi z regionem, mała siła kreatywna miasta i lokalne tylko jego funkcje. Ale to także mała dynamizmność elity twórczej i jej hermetyczny charakter wraz z nikłym oddziaływaniem na życie społeczności miejskiej. Takie dzie-

zasieg ogólnonarodowy, wzmocnione zasięgiem międzynarodowym. Wielkie miasto — to metropolia. W wielkim mieście musi mieć zapewnione optymalne warunki egzystencji liczna, atrakcyjna i autonomiczna, tak jest, autonomiczna elita twórcza. Wielkie miasto musi mieć zdolność tworzenia wzorów społecznych i kulturowych, które będą akceptowane przez szerokie zaplecze. Wzorów społecznych i kulturowych zgodnych w swym modelu realizacji z idealami naszego ustroju. Wzorów niezbednych w dynamicznie współczesnym realizowaniu tego ustroju.

Zachowania typowo robotnicze uległy rozproszeniu, zaś wzór zachowań typowo inteligentnych konsekwentnie przez lata redukowaliśmy. Winniśmy przyjąć poprzez świadome rozróżnienie, iż jeśli przegraliśmy grę o upowszechnienie kultury, to tym mądrzej zaczniemy grać o najwyższą stawkę, o dynamiczny kształt współczesnej kultury. Świadectwem naszej porażki jest istniejące rozwarstwienie kulturowe oraz zupełny brak znaczenia mechanizmów kierujących awansem kulturalnym.

Wracając do początku swoich rozważań powtórzę, iż za stan wyposażenia kulturalnego naszego miasta nie odpowiada ani Y, ani X. Sądzę, że winni należeć określony system, który niewiedzę usankcjonował jako konieczną zaletę. By cokolwiek przedsięwziąć, by wykonać jakiegokolwiek działania, musimy zdać sobie na wstępie sprawę z trzech rzeczy: po co, co, jak. I tutaj widzę konieczną potrzebę urzędów administrujących kulturą, które jawią mi się na kształt korporacji, skupiającej wszystkie środki i realizującej wszystkie wybrane cele lub rozdziałające owe cele do wykonania odpowiednim instytucjom. Przy sprecyzowanym celu ustalonych środkach działania i jasno zakreślonym prawie kompetencyjnym, urząd taki byłby animatorem i dysponentem procesu działania: tworzenia modelu współczesnej kultury. Konieczne jest przystąpienie do działania socjologów kultury, bowiem tu jesteśmy bogaci, gdyż jako jedyni w kraju posiadamy zespół uczonych-specjalistów. Niezbędni są socjologowie zajmujący się miastem. Konieczni są pedagogowie społeczni. Siegnijmy po wiedzę skumulowaną w ośrodku badawczym Zarządu Głównego Związku Włókniarzy. Mamy wreszcie, znów jako jedyni w kraju, dział badań nad kulturą miejską w łódzkim Muzeum Etnograficznym.

Przecież to jest ogromny kapitał wiedzy i świadomości. Niech urząd kultury zajmie się mądrą organizacją i koordynacją działań. Pozwólmy tylko mądrym urzędnikom mądrze pracować. Zaakceptujmy ich nowe sposoby i nowe formy pracy. Zaakceptujmy ich nowy styl i zachęcenia, pomóżmy zrealizować nowe urządzenia, które zamierzają wprowadzić. Wyposażmy ich w takie znaczenie, by czyniąc dobrze, mogli do czynienia dobra zmuszać.

ANDRZEJ LIPIŃSKI

CO JEST Z KULTURĄ TEGO MIASTA?



Fot. G. Puciato

kami grupy, jeśli stwierdzimy, jakie jest wyposażenie grupy określające dystans wobec społeczeństwa globalnego, to wówczas dokonamy projekcji kultury robotniczej.

Bez jej poznania nie będziemy nigdy mogli zgodnie z prawdą posłużyć się takimi słowami jak np.: „mieszkańcy Łodzi, klasa robotnicza tego miasta, z prawdziwą satysfakcją i dumą przyjęli otwarcie Teatru Wielkiego”. Bo mieszkańcy tego miasta okażą prawdziwą satysfakcję dopiero wtedy, jeśli do tego teatru przyjdą w wyniku świadomego, indywidualnego wyboru i znajdują w nim taką propozycję widzenia rzeczywistości, która wychodząc od znanych im znaczeń, ukazuje coś więcej. Wszyscy zachwyceni faktem istnienia tutaj Wielkiego Teatru, winni zadać sobie pytanie, czy obecność w nim widzów, to wskutek motywacji: „idę tam, bo chcę”, czy: „idę tam nie dlatego że chcę, lecz chcę, ponieważ byli tam wszyscy”. Ważny jest nie przymus ugody, lecz świadomość wyboru.

Sądzę, iż można przejść teraz

Nie jest zróżnicowane w swych właściwościach kulturowych. Mieszkańcy miasta w niewielkim tylko stopniu korzystają z instytucji kultury reprezentacyjnej, tworzonej przez wyspecjalizowane grupy i w procesie swej egzystencji pozostają na poziomie lokalnej subkultury, powatającej spontanicznie w procesie współżycia.

Przystępując do rozwikłania supra: „jak” — zgodzimy się, że na zmianę struktury (układu) gospodarczego tego miasta nas nie stać. Grę powinniśmy więc rozpocząć o świadomości ludzi tu mieszkających, o infrastrukturę psychospołeczną tego miasta. O umiejętnie zorganizowane współdziałanie mieszkańców, o świadomy szacunek dla tradycji, o kultury i dyscypliny pracy, o świadomą odpowiedzialność, o gospodarność, o oglądę i wiedzę, o wzajemny szacunek i świadomość bezpieczeństwa. Tym znaczeniem, wydaje mi się, winny być podporządkowane treści kultury, które będziemy oferowali. Bowiem żadna zobiektywizowana informacja kulturowa nie jest „dla siebie”. Tworzona jest z określonym za-

dziny twórczości jak literatura, publicystyka, teatr i telewizja, a więc to wszystko, co najmocniej kształtuje świadomość współczesnego człowieka, usytuowane są poniżej poziomu wzorca ogólnospołecznie akceptowanego. Żadna z tych instytucji, żaden ze środków przekazu nie znajduje ogólnonarodowego rezonansu. Musimy zatem ustalić nowe znaczenie miasta i nową jego jakość. Musimy go uczynić wielkim miastem. Przede wszystkim więc wprowadzić policentryzm dyspozycji. Jeśli tego nie będziemy w stanie pojąć, to sens kształtowania człowieka na miarę ustroju, który realizujemy, wciąż pozostanie naczelną tylko dyrektywą, wciąż w konflikcie z praktyką. Ten konieczny niezbędny policentryzm dyspozycji winien doprowadzić do zróżnicowania kulturowego ludności. Osiągniemy go poprzez zróżnicowanie skal bodźców i różnorodność treści, poprzez świadomy wybór wśród wielu alternatyw. Powtórzę raz jeszcze, że do tego konieczne jest wiele centrów dyspozycyjnych. Aby miasto było wielkie, jego znaczenie musi mieć

Bitwa nad Bzurą

Dalszy ciąg ze str. 3

przygotowanych natarć: polskiego od zachodu i niemieckiego od wschodu. Na równinach Ziemi Łódzkiej i pod Sochaczewem miała nastąpić ostateczna próba bohaterstwa i determinacji żołnierza polskiego z nowoczesną techniką wojenną i teutońską bezwzględnością agresora.

Rozkaz operacyjny dla grupy armii „Poznań—Pomorze” był gotów 15 września rano. Rozkaz generała Knolla, wydany dopiero tego dnia o północy, ustalał termin gotowości do natarcia na godzinę 12 dnia szesnastego. Grupa miała „zwartym natarciem” przełamać opór nieprzyjaciela, opanować lasy na wschodnim brzegu Bzury i rozwinąć swe powodzenie w kierunku Żyrardowa i Grodziska.

Tymczasem jednostki grupy w marszu do bitwy napotykały na różnorakie przeszkody, które znacznie opóźniały osiągnięcie przez nie pod-

staw wyjściowych. Oprócz uciążliwego przebijania się przez zatory taborów wojskowych i kolumn ewakuacyjnych musiały one, a głównie 14 prawoskrzydłowa dywizja, szukać dalekich obejść przez rzeki i rowy, a to na skutek zniszczenia mostów jeszcze w dniu 8 września przez dowództwo tyłów armii „Pomorze”. Lewoskrzydłowa 25 dywizja sięgała swym obejściem aż po Sanniki o 20 kilometrów na północ od Łowicza.

Również alarm przeciwpancerny wstrzymał oddziały grupy w marszu i zmusił je do zajęcia ugrupowań przeciwpancernych w miejscu, zarówno 14 jak i 15 września. Na domiar złego, począwszy od 15 września wzmogło się znacznie działanie lotnictwa na obszarze tyłowym obu armii, skutkiem czego jednostki maszerujące cierpiały bardzo od nalożonych bombowych i — nie wzięwszy jeszcze udziału w walce — ponosiły znaczne straty fizyczne i moralne.

Pod Łowiczem już drugi dzień grzmiała artyleria niemiecka. Jej

działanie stawało się coraz potężniejsze w miarę, jak dowództwo 10 armii wprowadzało do akcji swoje oddziały artyleryjskie. Jednakże grupa operacyjna Bortucia stała niezłomnie. Pod Brochowem kawaleria generała Abrahama wysunęła daleko na przedpole za Bzurę swoje oddziały styczności. Tylko na południe od Sochaczewa udało się niemieckiej 19 dywizji zepchnąć słabą osłonę grupy pułkownika Świtalskiego i utworzyć niewielki przyczółek na lewym brzegu rzeki. Niestety, 15 dywizja, która miała tu przybyć na wzmocnienie, po chaotycznych i krwawych walkach z 3 dywizją niemiecką, przeżyła w ciągu 15 września ciężkie bombardowanie w Gąbinie i otaczających lasach, tak, że dopiero o zmroku mogła podjąć marsz w kierunku Bzury.

Jednak dowódca grupy armii „Poznań—Pomorze” z ufnością oczekiwał wydarzeń w dniu 16 września. Z braku rozpoznania lotniczego i komunikatów Naczelnego Dowództwa nie wiedział on, że ma przed sobą wzmocnioną 8 armię niemiecką i większość sił 10 armii, która według jego ówczesnych wiadomości powinna być związana przez armię „Prusy” na południe od Warszawy. W jego nowym miejscu postoju w Żakusku zameldował się wieczorem pułkownik Strzelecki, robiąc dużą niespodziankę swoim

szybkim, zagonowym marszem z Dąbia do Bud Starych. Po północy przybył generał Przyjałkowski, meldując o marszu swej dywizji do tychże Bud. Zarysowywała się koncentracja trzech wielkich jednostek do flankowego uderzenia ze wschodniego brzegu Bzury.

Nadszedł dzień 16 września, przełomowy dzień bitwy. Grupa uderzeniowa generała Knolla po marszu nocnym zbliżała się do podstaw wyjściowych, wchodząc stopniowo w strefę ogni dalekich przeciwnika. Jednak w tej ostatniej fazie przygotowań zaznaczyły się znaczne niedokładności w wykonaniu zadań częściowych, które wywarły ujemny wpływ na ogólny wynik bitwy. Prawoskrzydłowa dywizja grupy uderzeniowej — będąca na miejscu 26 dywizja z armii „Pomorze” — miała ruszyć o świcie, lecz dała się ubiec nieprzyjacielowi. Jeden pułk 14 dywizji, 58 pp pułkownika Tomiaka, pozostał daleko w tyle, skutkiem czego między dwoma pozostałymi powstała luka. 17 dywizja była jeszcze w marszu na Sochaczew, a 25 dywizja — obejmująca również odcinek pułkownika Świtalskiego, zajmowała dopiero stanowiska w rejonie Młodzieszyn—Adamowa Góra. Wreszcie grupa kawalerii generała Abrahama zdradzała zbyt dużą chęć marszu ku Warszawie, jako ostatecznemu zresztą celowi wszystkich jednostek obu armii.

Od rana grzmiała artyleria piętnastu wielkich jednostek niemieckich, rozstawionych wokół polskiego grupowania dwóch armii. Ogień artylerii niemieckiej wspomagały silne naloży eskadr bombowych, kierując się na oddziały polskie w ruchu i na stanowiskach wyczekiwania, w ukryciu leśnym i pod gołym, słonecznym niebem. Najsilniejszy naciśk nieprzyjaciela zaznaczył się na Łowicz i Sobotę, gdzie kierowało się pięć jego dywizji w pierwszej linii. Już pierwsze uderzenie na odcinek 4 dywizji zmusiło pułkownika Verobę do użycia odwodów dywizyjnych, a 10 i 24 dywizja 8 armii niemieckiej zagroziły przecięciem szosy Łowicz—Kutno.

Około godziny 15 batalion Obrony Narodowej jako batalion 14 pułku został rozbity na wzgórzu pod Urzeczem i nieprzyjacieli przekroczywszy rzekę zaczął szybko posuwać się w kierunku Bąkowa i Bogorii. Sytuację udało się chwilowo uratować dzięki zimnej krwi i opanowaniu artylerzystów 2 dywizjonu 4 palu pod dowództwem majora Falewicza, którzy z odkrytych stanowisk ogniem na wprost powstrzymywali posuwanie się Niemców. Równie silne natarcie kierowało się na Zduny, gdzie z kolei wielką pomoc polskiej piechocie oddały dwa pociągi pancerne na stacji Jakowice.

60 roku w pierwszych dniach września nie tylko turyści, ale i górale z całej Europy spotykają się w Zakopanem. Górale — wiadomo — na swoim festiwalu. Żeby było jeszcze bardziej zakopiańsko, goście z wszystkich gór całej Europy kwaterują w hotelu „Zakopane” i występują w sali tegoż hotelu. W mieście, gdzie tylko dziesięć procent mieszkańców stanowią autentyczni górale, odnosi się w tych dniach wrażenie, że nawet cepry są ludźmi gór. I chyba tak jest naprawdę. Prawdziwi górale już po górach nie chodzą, zostawiając tę przyjemność członkom PTT-K. Zresztą jako ludzie praktyczni nie mają po co chodźć w Tatry. Najwyżej na rydze, lecz te rosą niedaleko, zaraz pod Krokwią. Na co dzień więc dawni juhasi zajmują się dorozkarsstwem, a ich dziewczyny pracują w sklepach jako ekspedientki.

Coraz mniej górali zajmuje się też wypasem owiec. Po pierwsze, że się to już za bardzo nie oplaca (w woj. poznańskim hoduje się więcej owiec, niż w woj. krakowskim), po drugie, że nawet nie wolno. Hale wykupuje od starych bacoń Tatrzańskich Park Narodowy i natychmiast zabrania wypasu bydła. Żeby nie niszczyć gór. Przemycem także zajęli się ludzie z nizin, więc górale naprawdę nie mają powodu lazić po graniach, reglach i skalistych szczytach. Pozostało im tylko pielęgnowanie folkloru w ludowych zespółach artystycznych i sportu narciarskiego w ludowych zespółach sportowych. Czynią to rzeczywiście z dużym pietyzmem, no i rezultatami, ponieważ folklor górski jest wyjątkowo bogaty, różnorodny i atrakcyjny etnograficznie i artystycznie.

Nie ulega wątpliwości, że wielka ilość festiwali w naszym kraju nieco zdewaluowała ich jakość. Nie dotyczy to jednak festiwalu góralskiego, imprezy, której ranga z roku na rok wzrasta. Zaczęło się to w ogóle przed dziesięć laty, kiedy to festiwal zespółów tanecznych był pomyślany jako dodatek do Jesieni Tatrzańskiej. Jesień Tatrzańska miała cel dość użytkowy — chodziło o przedłużenie sezonu turystyczno-wypoczynkowego w górach. Z biegiem lat festiwal z imprezy towarzyszącej stał się imprezą główną, a Jesień jest teraz niejako dodatkiem do swego dodatku.

Ba, Zakopane stało się miejscowością tak popularną, że cierpi raczej na nadmiar, a nie na brak gości. Festiwal więc, jako impreza mająca być magnesem przyciągającym turystów, stracił w tej sytuacji swój pierwotny sens. Ale na szczęście jest impreza tak piękna, że sam w sobie posiada rację bytu. Oczywiście, Zakopane robi co może, żeby do siebie zrazić, obrzydzić siebie, zniechęcić do zbyt masowych wizerów, lecz, niestety, nie udaje się. Urok gór jest silniejszy od niechęci i przeszkód, jakie stwarzają tubylcy.

Tegoroczny alarm, że turyści rozdepczą Tatry, rozniósł na podszechwach Kasproy Wierch, minął bez echa, i to dobrze, gdyż okazał się przesadny i histeryczny. Według najnowszych pomiarów okazuje się, że Tatry nam wcale nie maleją, a wręcz rosą. Giewont ma nie 1.998 metrów, a 2.009 metrów, Gerlach też jest bodajże o 10 metrów wyższy, oczywiście w świetle najnowszych, bardzo precyzyjnych pomiarów.

Pogłoski o niszczeniu gór i roznoszeniu ich na butach turystów roznoszą turyści defetyści i osobliwie bardzo, bardzo osobliwi miłośnicy góralszczyzny, którym nie w smak, że turystyka górską przestała być przyjemnością elitarną, a stała się przywilejem szerokiej mas. Ciż sami ludzie chcieliby stworzyć w górach

nie tylko rezerwat przyrody, a w góralskich wioskach rezerwat budownictwa, lecz i Rezerwat Górali. Górale nie Indianie, również chcą mieszkać w domach z łaźniarkami, z centralnym ogrzewaniem i innymi wygodami.

„Do zadań „Sztuk Podhalańskiej” należy również otoczenie moralną opieką zabudowanie Zakopanego, które w ostatnich czasach zgola niezakopiański zaczęło przybierać charakter”.

KAROL BADZIAK

TAŃCE GÓRALSKIE

Zdanie to pochodzi nie z roku 1971, lecz z 1909. Jak widać, walka o utrzymanie zakopiańskiej architektury trwa ponad pół wieku. Bez skutku. Drewniane domy są ładne, murowane są wygodniejsze. Miłośnicy góralszczyzny, nie mogąc przekształcić Zakopanego w skansen, dobrze robią, że usiłują choć utrzymać i zachować obrzędową kulturę góralską. Służy temu celowi niewątpliwie festiwal, który ma od czterech lat charakter międzynarodowy. Spotykają się na nim i rywalizują z sobą górale Pirenejów, Alp, Bałkanów, Tatr i Kaukazu. W tym roku obecni byli Hiszpanie, Francuzi, Włosi, Austriacy, Niemcy, Węgry, Rumuni, Bułgarzy i Słowacy. ZSRR reprezentowali Osetyjczy z Kaukazu. Oczywiście górali wszystkich krajów cechuje wyjątkowo rozwinięte poczucie dumy, wolności i niezależności, werwa, działość i ognisty temperament, lecz u górali kaukaskich te cechy są pomnożone w dwójnasób. Dwa lata temu miałem możliwość oglądać Dagestańczyków, którzy w Zakopanem zdobyli najwyższe trofeum — „Złotą Ciupagę”. Zaprezentowali kulturę starą, bogatą i urzekającą swym pięknem. Podobnie było w tym roku z zespołem osetyjskim, który okazał się równie bezkonkurencyjny i także zdobył „Złotą Ciupagę”.

Piękne i surowe góry Kaukazu określają ludowy charakter tańców Ossetii. Prawie wszystkie ich tańce mają wojowniczy charakter, oddają wojowniczą naturę tamtejszych górali. Są to bowiem, w gruncie rzeczy, tańce Dżigitów po mistrzowski fechtujących kindżalem. Tańcom towarzyszą heroiczne pieśni, które są wyjątkowo domeną mężczyzn. Opiewają one bohaterstwo, odwagę i chwalebne czyny tych rycerzy gór. Na uwagę zasługują również tańce obrzędowe, weselne. Wesela góralskie, obrzędy i zwyczaje, związane z tą uroczystością prezentowało w Zakopanem wiele zespółów, lecz wesele osetyjskie jest oryginalne choćby z tego względu, że odbywa się bez udziału pana młodego. W czasie uroczystości wraz z kilkoma kolegami ukrywa się on u przyjaciół lub krewnych. Główną postacią na weselu jest panna młoda, której towarzyszy przyjaciel ukochanego i jej przyjacielka. W ciągu trzech dni ten obrzęd weselny, wypełniony na przemian swawolnymi zabawami, wymaga od panny młodej rozsądku, taktu i pomysowości, aby z honorem wyjść z niecodziennej sytuacji.

Tańce i pieśni w ogóle określają charakter narodu. Jak bardzo określają, mo-

żna się było o tym przekonać na zakopiańskim festiwalu. Np. Sycylijczycy dali pokaz żywiołowości i dynamiki. Pięknymi melodiami i fantastycznym wręcz temperamentem podbili publiczność do tego stopnia, że już na drugi dzień po ich występie wszyscy goście śpiewali sycylijskie pieśni. Dodajmy do tego jeszcze południową urodę śródziemnomorskich dziewcząt, z którymi mogły konkurować tylko pełne gracji i królewskiego łacie

wdzięku gwiazdy Kaukazu. Pierwszą piękną festiwalową została Rosa Sanfilippo z Agrigento, która prawdopodobnie w tanecznym zapamiętaniu wyściskała naszego ministra kultury i sztuki, obecnego przez cały czas na festiwalu. Mnie, niestety, ucałował siarczyście tylko jakiś ognisty Sycylijczyk.

Wysoki był poziom artystyczny tego międzynarodowego festiwalu górali. Każdy koncert zachwycał, każdy występ zaskakiwał, a wszystkie w sumie dostarczyły niezapomnianych wrażeń. Całoci towaryższyla rewia przepięknych, kolorowych strojów, z których nasze polskie, bez fal-



szywej dumy rzecz można, są najwspanialsze. Na Zachodzie na przykład publiczność nie daje wiary, że stroje naszych górali są autentyczne i ludowe. Uważa się je tam za stylizację. Owszem, jeśli chodzi o stylizację, można mówić tylko o niektórych stylizowanych tańcach i pieśniach góralskich, o stylizowanych zespółach artystycznych, występujących obok zespółów całkiem autentycznych.

W Zakopanem sprawa wygląda w ten sposób, że zespoły stylizowane i opra-

cowane artystycznie cieszą się największym powodzeniem wśród publiczności, natomiast jury cen i ocenia najwyższe zespoły artystyczne. Jest to zresztą zgodne z ideą tego festiwalu, którego celem — kontynuacja, utrwalenie i ochrona niefałszowanego folkloru góralskiego.

Rywalizacja zespółów odbywa się w trzech kategoriach: autentycznych, stylizowanych i artystycznych.

Dużym zaskoczeniem byli górale z NRD, występujący w strojach... górskich. Nieporozumienie szybko się jednak wyjaśniło. Zespół NRD „Erzgebirgs Ensemble” pochodzi z miasta Aue, które leży w terenie górskim, gdzie folklor góralski uległ na przestrzeni wieków wpływowi rozwijającego się tam górnictwa.

Barczo ciekawie reprezentowali się górale austriaccy. Pokazali tańce pełne powagi, godności i smutku ludzi ciężkiej, mozolnej pracy. Zupełnie odmiennie od zabawy austriackich górali zaprezentowali się pochodzący z wysokich Vogezów górale francuscy. Ci z kolei tańczą lekko, wytwornie, z salonową elegancją królewskiego dworu. Widać tu wyraźny wpływ Wersalu. Ciekawe, jak to się stało, że arystokratyczne tańce dotarły do górskich sióły i stały się z biegiem czasu tańcami ludowymi. Bardzo podobne motywy znajdujemy w tańcach górali hiszpańskich, w których można doszukać się również rytmów z pobliskiej Afryki. Identycznie ma się sprawa z Bułgarami i Rumunami, gdzie znów mamy do czynienia z wpływami kultury azjatyckiej, szczególnie w muzyce. To przenikanie kultur z innych kontynentów na obrzeże Europy jest bardzo znamienne i na takim festiwalu dopiero dostrzegalne wyraźnie. Wychodzą na jaw podobieństwa i różnice ludzi gór, a jednocześnie specyficzna wspólnota duchowa ludów zamieszkających w surowych warunkach naturalnych.

To nie przypadek, że folklor w górach dłużej utrzymuje się w starych formach, niż folklor na nizinach. Po prostu góry opanowane zostały przez człowieka o wiele później niż doliny. Dłużej przetrwał tam koczowniczy tryb życia, które było może trudniejsze w sensie bytowania, ale swobodniejsze, bardziej niezależne i wolne. Pierwszym mieszkańcem Zakopanego był przecież dezertor, który szukał tu schronienia i zapoczątkował sławny ród Gasieniców. Bohaterem ludowym po obu stronach Tatr jest podzieln dzisiejszy Juro Janosik, hardy góral, zbójnik z Tarchowej na Słowacji, który zawisł na szubienicy w 1713 roku. Kult tego harnasia wśród tatrzańskich górali wyraża się chyba najlepiej w tańcu zbójnickim. Każdy polski zespół (a było ich sześć) miał ambicję, ażeby w finale zatańczyć „zbójnickiego”. Zresztą, tańce to rzeczywiście ładny, temperamentny, urozmaicony choreograficznie i oddający w pełni charakter mieszkańców Skalne-go Podhala.

Inna sprawa, że ten dziański lud do niedawna żył stale na krawędzi śmierci głodowej. Jeszcze zaraz po wojnie widok górala schodzącego z gór i poszukującego latem pracy na równinach, przy żniwach lub siano kosach, nie był czymś wyjątkowym. Dobrobyt górali zakopiańskich nie jest dobrobytem powszechnym. To moda i wyjątkowo piękne położenie miejscowości sprawiło, że metr kwadratowy ziemi jest tu najdroższy w Polsce, bo cena jego dochodzi do 1.000 zł.

Nie więc dziwne, że zakopiańscy z takim zachwytem słuchali pieśni Sycylijczyków, którzy śpiewali: „Kiedy nad naszą doliną budzi się jutrenka, na horyzoncie widać rozpalaające się słońce...”

Lecz o wyniku bitwy zdecydowały czołgi.

O godzinie 10,30 z podstaw na północ i południe od Sochaczewa wyszło koncentryczne natarcie dwóch niemieckich dywizji pancernych: 4 — Reinhardt a i 1 — Schmidta. 4 dywizja pancerna, wzmocniona pułkiem SS Leibstandarte „Adolf Hitler”, przerzawszy słabą osłonę improwizowanych batalionów koło folwarku Żuków, między Sochaczewem a Brochowem, uderzyła w kierunku południowo-zachodnim na koncentrującą się 29 dywizję generała Altera. Powyżej Sochaczewa, w Kozłowie Szlacheckim i Biskupim, przeprawiła się przez Bzurę 1 dywizja pancerna i przy wsparciu silnego lotnictwa uderzyła z przedmościa 19 dywizji niemieckiej na zachód oraz północny zachód. Szczególnie dotkliwie było jej uderzenie w lukę pomiędzy 55 i 57 pułki 14 dywizji, znajdujące się od świtu w walce ogniowej o podstawy wyjściowe z usadowionym w rejonie lasu Emilianów nieprzyjacielem. W luce tej znajdował właśnie stanowiska 1 dywizjon 7 puc. pod dowództwem majora Wilkońskiego. Jednak 155-milimetrowe ciężkie haubice nie mogły podobać strzelaniu na wprost, ponieważ ich leńsze oporowe wbiły się głęboko w ziemię i po każdym strzale wymagały odkopywania. Czołgi nieprzyjaciela rozbili dywizjon, zmiażdżyły lewe skrzydło i-

dącego do natarcia 57 pułku, w którym zginął III batalion wraz z dowódcą, majorem Kepińskim, a następnie przejechały również przez stanowiska 14 dywizjonu ciężkiego pod Jeziorkami i rozpedziły posterunek bojowy 14 dywizji w Kocierzewie Południowym.

Natarciu czołgów towarzyszył bardzo silny nalot bombowy dwóch dywizjonów lotnictwa, który wzniecającymi pożarami wytyczał niejako kierunek działania czołgów — na zachód. Fala czołgów została dopiero częściowo zatrzymana na linii stanowisk ogniowych 2 dywizjonu 14 pal w obrębie miejscowości Wicie.

Za małym, murowanym budynkiem mieściło się stanowisko dowodzenia dowódcy 55 pp, podpułkownika Rybotyckiego oraz dowódcy 14 pal, podpułkownika M. Terleckiego. W opłokach zabudowań rozwinęła na stanowisku 6 bateria palu wykonywała właśnie ognie na rzecz walczącej na przedpolu piechoty. Odgłosy walki dochodziły z kierunku Emilianowa, a także u Szwarocina — bardziej na północ — gdzie zapewne zwróciła się grupa osłona czołgów.

Wtem nadjeżdżający z punktu obserwacyjnego zwiadowca, bombardier Schlecht, zelektryzował baterię okrzykiem:

— Czołgi idą!

Istotnie fala czołgów posuwała się szybko na prawy skraj wioski, nie dostrzegając dobrze zamaskowanych dział.

— Przed nami czołgi! — podchwycił okrzyk zwiadowcy oficer ogniowy, podpułkownik rezerwy, Korbik. Bateria otworzyła ogień na wprost na odległość zaledwie 400 metrów. Lecz fala około 40 czołgów odpowiedziała niemal natychmiast morderczym ogniem swoich dział i karabinów maszynowych.

Wówczas na stanowisko wybiegł adiutant 14 pal, porucznik Mikołaj Ignatowicz.

— Bateria na moją komendę! Obsługa do dział! Do dział! — powtórzał strasznym głosem jedną i tę samą komendę, gdyż tylko ogień mógł ocalić baterię.

Ze szczylny wyskoczył działonowy 2 dział, kapral Józef Siatkowski, za nim obsługa. Już wszyscy przy działach. Nowe wystrzały czterech armat rozdarły powietrze. Ledwie 100 metrów przed łufami stanął nieruchomo czołg niemiecki, drugi dymi, wybucha płomieniem. Nadszedł oficer zwiadowcy pułku, porucznik rezerwy, Kazimierz Nowicki — uwija się przy I plutonie.

Wtem poraża ich potężna eksplozja. To wybucha jaszcz z amunicją. Celowniczy 4 dział osuwa się na łoża, zamkowy chwytą się za pierś. Działo milknie na chwile, tylko z wylotu siedemdziesiątki piątki snu-

je się sinawy dymek. Porucznik Ignatowicz widzi to wszystko. Bez namysłu doskakuje do celownika. Miejsce zamkowego zajmuje kapral Rolniczak, z 57 pp, były żołnierz 14 palu. Znów dwa czołgi w płomieniach, jeden przystanął, objeżdża wioskę ukosem.

W prawo od stanowiska, zza budynku, wściekle bije polskie działko przeciwpancerne, czołgi niemieckie coraz wyraźniej okrażają Wicie i suną dalej. Wieś płonie. Trzeba co rychlej usuwać baterię. Na szczęście czołgi znikają z oczu. Milkną strzały. Na stanowisku staje dowódca pułku, wszyscy unieśli się znad dział.

— Dziękuję wam, chłopcy! — rzekł wzruszonym głosem.

Obok, oparty o jabłoń, stał porucznik Ignatowicz, z oczami na wpół zamkniętymi, opadły z siły od wielkiego wstrząsu. Pułkownik podszedł do porucznika, objął go i ucałował. Twarze żołnierzy ożywiły się, niektórzy płakali.

— My tym gadom pokażemy! — zabrzmiał w powstałej ciszy głos kanoniera Zielińskiego z obsługi 4 działka...

Tymczasem nadciągał 59 pp pułkownika Tomiaka. Generał Wład konno gwał ze swego posterunku na spotkanie oddziałów pułku. Pierwszy nawinął się porucznik Stanisław Jakiel z kompanią rozpoznawczą.

— Panie poruczniku, niech pan

rafuje sytuację! — zawołał dowódca dywizji.

Z sąsiedniego odcinka, z rejonu 26 dywizji pędziły drogą jaszcz. Za nimi i obok burza żołnierzy. Powszechny zgiełk ogarnął wojsko, które przed chwilą zachowywało jeszcze spokój.

Porucznik Jakiel natychmiast ustawił cekaem. Był zdecydowany na wszystko. Jedno pociągnięcie spustu uruchomiło długą serię. Konie czołowego jaszcz szarpnęły się, przekoziołowały przez siebie, jaszcz w pędzie wyrwał się w poprzek drogi.

— Stać! Ani kroku dalej! — wybiegł z krzykiem naprzeciw nadciągającym tłumom.

Wówczas do drogi podjechał generał Wład, stanął nieopodal od ciężki i zawołał dzwięcznym swym głosem:

— Czołem żołnierze!

Był to okrzyk, którego się ktokolwiek najmniej spodziewał. Lecz tu wyszło na jaw wspaniałe wyszkolenie wojska, jego gotowość walki i podporządkowania się dowódcom.

— Czołem, panie generale! — zakrzyknęli wszyscy jak jeden, stając się od razu istotnie żołnierzami.

Za chwilę przystąpili do swych oddziałów dowódcy, zaczęli je ustawać i porządkować. Sytuacja była opanowana.

APOLONIUSZ ZAWILSKI

Był ostatni dzień czerwca. Po upalnym dniu ciepły wieczór i niebo rozgwieżdżone.

Na dalszych torach przetaczano wagony, gwizd lokomotyw potęgował zdenerwowanie. Przejornicy którzy liczyli na punktualne podstawienie składu, psioczyli na bagażan w kolejniectwie. Ich prawo pierwszeństwa z każdą minutą malało w wzbierającym tłumie.

Ze skwierceniem, jakby smażąc się na patelni, z ocłaganiem, wśród narastającego napięcia zaczął się zbliżać. Krawędź peronu falowała. Wreszcie natarli na całą długość pociągu i zaczęło się paniczne wciskanie miękkiej masy w twarde drzwi wagonów.

szczęście. Śrub jeszcze nie było i dzięki poparciu pana Z. udało mi się zrealizować zamiar. Legliśmy na wysokościach, po jednej stronie małżonka pana Z., po drugiej jednak ja. Jednak, bowiem argumentacja pana Z., że jestem za ciężki, nie zyskała mego uznania. Wyciągnąłem się rozkosznie.

I wtedy właśnie wszedł On. Usiadł pośrodku, w polu mego odgórnego widzenia. Usiadł i nic. Zupełnie nic. Nieznacznie tylko ogarnął wszystkich obojętnym wzrokiem. Na Jego wychudłym i zamyślonym obliczu malowała się godność. Wszyscy jakoś zamilkli. Dopiero po dłuższej chwili żwawy młodzieniec, który błyskawicznie

karstwo do Jego rozwartych ust.

— Trzeba go wysadzić — powtarza dobitnie pan Z.

— Trzeba go dobrze ułożyć — podtrzymuje tonem nie znośnym sprzeciwu starszy pan.

On podnosi powieki i prosto na mnie kieruje spojrzenie.

Odczułem to spojrzenie jak wyrzut. Zrobiło mi się głupio.

— Może ułożymy pana tu, na górze... — wykrztusiłem.

Pan Z. zaśmiał się głośno: — Też pomysł!

— Jak się pan czuje — zapytał z troską starszy pan.

— Trochę lepiej.

— Da pan radę? Pomożemy.

Zszedłem z wysokości i podnie-

Żart psychologiczny. A poza tym muszę być wypoczęty i przygotowany.

— Na co — bąknąłem niechętnie.

— Coś musi się zdarzyć.

Spojrzałem pytająco.

— Nie wiem jak to panu wyjaśnić, ale tym razem na pewno coś musi się zdarzyć.

Milczałem targany sprzecznymi odczuciami.

— Od kilku lat jeżdżę na wczasy. To kwestia czasu. Czekań — kontynuował.

— Na co?

— Tu ludzie są bardziej sobą, niż gdzie indziej — ciągnął, jakby nie słysząc pytania — wyzwoleń... i jeżeli nastąpi zetknięcie...

— To co — przerwałem brutalnie, nie wiedziałem, co mnie tak podniecało.

— To wszystko — powiedział i wstał. Wyciągnął szczupłą dłoń. — A tamto w pociągu, proszę, niech pan zapomni.

Mimo optymistycznych prognoz na drugi dzień było chmurno i deszcz rosł.

Poszliśmy do miejscowej kawiarni. Proponowałem koniak.

Odmówił. Proponowałem likier do kawy. Odmówił. Ukradkiem przyglądałem się Jego posępnym, ale gorącym oczom. Rozglądał się, jakby na kogoś czekał.

Nagle twarz mu stężała. Wlepił oczy w kąt sali.

Obejrzałem się.

— To Ewa — powiedziałem. — Skąd się tu wzięła? — Ewa — zawolałem.

Bardzo się ucieszyła ze spotkania. Usiedliśmy przy jej stoliku.

Sytuacja od razu wydała mi się dziwna. On odmieniony, prawie rozmodlony. Ewa mniej pewna siebie i subtelniejsza, chociaż musiała zauważyć, że robi na Nim silne wrażenie.

Poczułem mieszaninę niepokoju i niesmaku. Czyżby znowu żart? Było w nim jednak, musiałem to w duchu przyznać, coś niezwykle i niewątpliwie Ewa ze swoją inteligencją musiała to dostrzec.

Częściej zwracała się do mnie, ale wiedziałem, że On ją niepokoił.

Poszliśmy nad morze. Było spokojne i zamgłone. Siąpienie deszczu ustalo. Na zachodzie czerwień szarzała. Łódki przy brzegu czerniały. Przykucałem na jednej. Czulem zniechęcenie.

Siedliśmy naprzeciw siebie w naszym pokoju i na coś czekaliśmy.

Byłem senny, a siedziałem i wpatrywałem się w ogień Jego papierosa. Cisza panowała w całym domu, widocznie wszyscy już posnęli. Siedział i palił sporta. Zaczęło mnie to drażnić. Chciałem przerwać milczenie.

— No i jak — zapytałem głupawo.

Spojrzał na mnie ironicznie. I nic. Zwyczajnie nic.

— To też żart — zapytałem zaczepnie.

Milczał.

Podniecałem się własnym nastrojem. — Pan zapewne jest aktorem.

— Słusznie — przerwał łagodnie.

— Co słusznie?!

Nie odpowiedział. Zgasił papierosa i zdjął marynarkę. — Idę do łazienki — powiedział i wyszedł.

Nie słyszałem kiedy wrócił. Zasnąłem.

Nazajutrz, ubierając się, postanowiłem sobie nie iść z nimi. — Cóż w końcu On mnie może obchodzić. Ewa jest miła, lubię ją, ale nie aż do tego stopnia, by męczyć się w nastroju, który stwarzają — myślałem.

Jednak poszedłem. Wiele rzeczy robiłem z ciekawości, wbrew pierwotnym zamierzeniom. Tym razem działała jeszcze jakaś siła przyciągająca.

— Opętany facet — myślałem, patrząc na Jego chude plecy, napięte przy wiosłowaniu. Za tymi plecami czułem się swobodniejszy i bardzo krytyczny. W istocie miał się z wiosłem jak harcerzyk, chcąc zapewne zaimponować Ewie tym, czego miał chyba najmniej: siłą fizyczną. — Błazen — pomyślałem.

Odwrocił do mnie twarz i powiedział: — Co z panem?

— Nic — odburknąłem zmieszany.

Wbrew wszelkiej logice Ewa była zachwycona. Co chwila wołała: — Cudownie! Ale płyniemy! Jak szybko!

— Może się pan zmęczzył — zapytałem z nutką ironii.

Spojrzał na mnie bokiem i powiedział: — Ja? No, coś takiego! I pan to mówi?!

Zatkało mnie. Zatkano jak szczelnym korkiem.

Przy obiedzie uśmiechnął się do mnie i powiedział: — Dziękuję panu.

— Za co?

— Za Ewę.

— Przecież to ani moja narzeczona ani siostra — odparłem, nie ukrywając zdziwienia.

Zamyślił się. — Mimo wszystko, dziękuję. Nie wyobraża pan sobie, co to dla mnie znaczy...

— Dziwne — powiedziałem — i rozmowa urwała się.

Poszedłem na ten wieczorek zapoznawczy, chociaż nie lubię takich czasowych „kinderbalów”.

Ewa powiedziała, że napilaby się czegoś mocniejszego. Przyniósł dwie butelki koniaku.

Tańczył prawie wszystko. Oczywiście wyłącznie z Ewą. Nie przeskadzałem im. Zachowywał się jak tragiczny mim, grający scenę upojenia. Ewa była uszczęśliwiona. Powiedziała, że lubi mężczyzn z mocną głową. Piłem, a mogę dużo. On dotrzymywał mi, że tak powiem, kroku.

Dochodziła północ. Gdy ich żegnałem, wypili moje zdrowie. Odszedłem bo nie mogłem więcej pić i patrzeć na ich rozanielone twarze.

Leżałem ubrany na łóżku. Kręciło mi się w głowie. Wczasowicze powracali z radosnym rzeniem i tętentem.

Później dochodziły do mnie odgłosy ostrożnego stapania i szepty.

Cicho otworzył drzwi. Nie zapalał światła, ale w przejściu potrafił krzesło, więc powiedziałem, że może zaświecić, bo nie śpię.

Twarcz miał szarą, skurczoną, tylko oczy w niej gorączkowo płonęły. Usiadł, zgarbił się. Próbował zapalić papierosa. Trzymał go w palcach i nagle zgął się. Otworzył szeroko usta.

Jeszcze niezupełnie wytrzeźwiałem, więc powiedziałem, śmiejąc się: — Znow żart psychologiczny?

Podniósł na mnie oczy i ogarnęło mnie przerażenie. Wskoczyłem z łóżka. — Co panu jest — krzyknąłem.

— Nic — powiedział z wysiłkiem.

Ułożyłem Go na łóżku. — Co panu dolega?

Usiłowałem uśmiechnąć się. — To już chyba mój ostatni... — z trudem łapał oddech. — To jednak musiało się zdarzyć. Niech jej pan powie, że czekałem. Szkoda, że tak późno, ale i tak jestem szczęśliwy.

Przymknął oczy.

Zadzwoniłem po pogotowie.

Ewa bardzo zmieniła się od tych wczasów.

ROMAN ŁOBODA

COŚ MUSI SIĘ ZDARZYĆ

Wpadłem ogłuszony w mroczny korytarz. Ktoś bykiem w plecy dodawał mi przyspieszenia; daleki loskot, tętent i szamotanina. Z mrocznej, przeciwległej groźny pomruk i łomotliwy szum, jakby wzbierającej rzeki.

Usiłowałem umknąć w uchylone drzwi, ale „byk” zamienił się w hokeistę i zręcznym ciosem barku utorował sobie przejście. Odkrył od ściany korytarza wtoczyłem się z nim. On szybko zamknął drzwi.

— Pan ma pierwszą — zapytał zasapany, usiłując wcisnąć walizę na siedzenie między mną a oknem.

— Nie wiem — odparłem, trzymając jego walizkę na kolanach, a swoją w rękę.

Usiadł i powiedział: — Musi się pan przesiąść do drugiej.

— Nie wiem — powiedziałem.

— Tylko nie teraz, naprzód niech się przewali.

— Co przewali?

— Ludzie — syknął — cicho! Szarpnięcia za klamkę były krótkie: fala szybko odrywała każdą rękę od drzwi.

„Hokeista” uchylił okno. Dyskretnie wyjrzał. — Mam dwa miejsca pod oknem — wyrzucił przez szparę przytłumionym głosem.

Tak więc dzięki dzielnemu panu Z. miałem wygodne stojące miejsce tuż przy oknie, bowiem wdzięk jego pulchnej małżonki był tak nieprzeparty, że musiałem ustąpić swoje miejsce siedzące przemiłej spóźnalskiej. Miejsce, które i tak przedtem zostało uznane za nielegalnie zajęte wyrokiem pana Z.

Pociąg nabierał szybkości. Noga bolała mnie w kostce, prawdopodobnie od jakiegoś kopnięcia, w związku z czym głowa pracowała intensywniej. W pewnej chwili wpadł do niej (do głowy) koncept. Można spróbować podnieść oparcie — pomyślałem. A był to okres, kiedy w większości wagonów oparcia zostały unieruchomione. Nadal sprzyjało mi

zajął był miejsce po małżonce pana Z., rzekł:

— Pogoda się udała... — Rozejrzał się po przedziale, szarpnął baczki. — Państwo wszyscy na wczasy — zapytał.

Pani w średnim wieku, ukreowana na podłotkę, podchwyciła skwapliwie: — Ależ tak, a gdzieżby... — I nie wiadomo czemu, parsknęła śmiechem.

Żwawy młodzieniec lypnął bez entuzjazmu w jej stronę, ale natopkawszy spojrzenie niby to mrugnął w uśmiechu i powiedział: — He, he...

Wszyscy zaśmiali się, nawet pan Z., a On nic. Po prostu nic. Jakby tylko przygarbił się nieco, a przez twarz przeleciał Mu cień bólu.

Zrobiło się duszno. Żwawy młodzieniec głośno wycierał nos; pani Zetowa zaczęła chrapać, a pani w średnim wieku chrupała jabłko.

A On, już wyraźnie skurczony, ociera dłonią zroszone czoło. Z Jego ust pada pierwsze słowo — szepc: — Duszno!

Nikt na to nie zwrócił uwagi.

— Duszno — powiada i jakby staniał się.

— To wyjdź pan na korytarz — mówi pan Z.

On podnosi się, ale natychmiast pada na siedzenie, otwierając szeroko usta i skrzęcając się, chyba z bólu.

Starszy pan, z piękną srebrną czupryną, podnosi się. — Pan jest chory — mówi.

On nie odpowiada. Widzę Jego posępne oczy, przymglone i gorzki wyraz ust.

Starszy pan rozluźnia Mu kołnierzyk i usadawia w pozycji półleżącej.

— Trzeba go wygodnie ułożyć — mówi starszy pan.

— Trzeba go wysadzić na najbliższej stacji — mówi pan Z., odsuwając swoją nogawkę od Jego podeszwy.

— Mam coś! — Starszy pan wyciąga z nesesera jakieś kropelki i termos z herbatą. Wlewa le-

śliśmy Go ze starszym panem. Po chwili spojrzałem na górę i zdawało mi się, że w Jego oczach błysnęła ironia.

Wszyscy odetchnęli. Pan Z. rozpostarł się jeszcze szerzej, chociaż i tak już pół mego dziedzictwa zajął uprzednio.

— Pan też na wczasy? — zagadnęła pani w średnim wieku.

— Tak — odparłem.

— A można wiedzieć, gdzie?

— Do Niechorza.

— Ładnie tam. Byłam. A wie pan, gdzie?

— Nie.

— W Satyrze.

— A pan, gdzie?

— Do Kasieńki.

Parsknęła śmiechem. — Pan dowiecny!

— Mówię poważnie.

On poruszył się na górze. Usłmiechał się. Tak, na pewno! Uśmiechał się ironicznie i porozumiewawczo. Zdebiąłem. Coś niby żał, niby wstyd poczułem. Odwróciłem oczy. Czulem miarowe dudnienie w skroniach. Mijałismsy stacje. Światła odbijały się o nasze szyby.

Pierwsza grupa wczasowiczów skupiła się przed urzędującym obliczem kierowniczką „Kasieńki”.

Właśnie tłumaczyła mi, że są tylko wieloosobowe i dwójki, gdy wszedł On. Udałem, że Go nie widzę.

— Niech pan sobie któregoś z panów dobierze — mówiła kierowniczką. — No... który z panów?

— Może ja — On powiedział półgłosem, ale ja to odczułem jak krzyk.

— Pan by chciał? Świetnie! — I do mnie: — Widzi pan, już jest dwójeczka. — Uśmiechnęła się zadowolona.

Poszliśmy w milczeniu na górę. Pokój, owszem, ładny. Z widokiem na morze.

On usiadł, zapalił sporta, puścił parę kółek i milczał.

Zaczęłem wypakowywać walizkę. Tak, żeby coś zrobić.

— To był żart — powiedział. —

EDVARD KOCBEK

Tęcza

Myślałem: księżyc w jasność
lecz gdy się poruszył,
leżałem w cichości.

Myślałem: tyle cichości,
gdym oczy otworzył,
to były ciemności.

Myślałem: same ciemności,
gdy się zanurzyłem,
doznałem czułości.

Myślałem: ileż czułości,
szukać jej ustami —
nic, oprócz gorzkości.

Z POEZJI SŁOWEŃSKIEJ

JOSIP STRITAR

Kropła u gałęzi

Jesteś, człowieku, kropłą, co u gałęzi lśni.
Wystarczy, by powiał wiatr, kropła spadnie we mgły.

FRANCE KOSMAČ

Młyn

Młyn drzemie w dolinie,
koła ustaly.
Most stary nad wodą
chwieje się cały.

Zostań, mgłą zmęczoną
osnutą, młynie.
I nam, partyzantom,
sprzyjaj jedynie.

Przełożył: JAN HUSZCZA

RATUSZ



Tematyka historyczna zdobyła sobie tak znaczne miejsce w twórczości Władysława Rymkiewicza, tak zrosła się z nazwiskiem pisarza, że przywykliśmy do niej i właściwie przestał nas już dziwić upór, z jakim sięga on do odległej przeszłości poszukując tam inspiracji do swych kolejnych książek. Zdumienie i podziw budzi raczej ambicja, z jaką stara się on odświeżyć gatunek literacki, zdawałoby się tak martwy, jak romans historyczny.

Od klasycznej formuły tego rodzaju powieści odszedł Rymkiewicz już dawno rezygnując z powielania doświadczeń warsztatowych, które sprawdziły się najpełniej w „Rycerzach i ciurach” i przyniosły mu niemały rozgłos czytelnicy. Nie znaczy to oczywiście, że je zupełnie odrzucił. Myślę, że pisarz próbował raczej sprawdzić wszystkie możliwości tego niesłusznie lekceważonego gatunku, czego dowodzą choćby takie próby jak „Trzystu pod Dobrą”, „Wódok z Księgią Młyną” i „Czas pojedna, trawa porośnie”. Rymkiewiczowi udało się zresztą zaadaptować szereg zdobyczy technicznych par excellence współczesnej prozy, łącząc je z doświadczeniami „nowej powieści” francuskiej. Tak usprawniony romans wydał nadzwyczaj smakowite owoce, tym bardziej że Rymkiewicz odrzucił, jako mało twórcze, beletryzowanie dziejów, traktując konkretne zdarzenia historyczne tylko pretekstowo. Szukał w nich refleksji na tyle uniwersalnych, że niekiedy zapominało się o epoce, której dotyczyła książka a rezultatem tego była aktualizacja tematu, rzetelnie zazwyczaj zdokumentowanego.

Wśród tych prób szczególnie miejsce zajmie najnowsza powieść Rymkiewicza pt. „Portret Królowej”. Jakby nie dowierzać w pełni czytelnikowi pisarz dodał podtytuł: „Powieść współczesna”, aby jeszcze wyraźniej podkreślił jej charakter. I rzeczywiście. Mimo że spore partie książki poświęcone są recepcji legend związanych z Królową Jadwigą, powieść tak dalece odbiega od formuły klasycznego romansu historycznego, że

sygnalizowanie tego w podtytuł wyraża mi się przesadną ostrożnością. Choć oczywiście rozumiem niepokój pisarza o to, czy zostanie przez czytelnika dobrze zrozumiany. Jego powieść jest bowiem jednocześnie współczesną a zarazem mieści się w formule tego, co Francuzi nazywają „romansem historii”.

O sukcesie próby Rymkiewicza zdecydował już sam wybór centralnego problemu, który pozwala na szerokie snucie historiozoficznej refleksji. Biografia Królowej Jadwigi jest przecież na tyle kontrowersyjna, jest w niej tyle miejsc niejasnych, że świetnie nadaje się do podobnych rozważań, tym bardziej, gdy uzmysłowimy sobie kult osoby Królowej w polskiej tradycji ludowej, a nawet kościelnej. Mitotwórstwo nie jest wyłącznie zajęciem bajarzy, bowiem mity, zwłaszcza tak szeroko funkcjonujące, spełniają zawsze określone zadania społeczne. Zwrócił bym na to uwagę swego czasu socjolog profesor Czarnowski, w swoim doskonałym studium na temat Świętego Patryka, bohatera narodowego Irlandii. Odwołuję się do tej pracy, bo w polskiej literaturze naukowej trudno o równie trafny przykład analizy funkcjonowania legend. Rymkiewicz z esejistycznych partiiach swej powieści problem ten dodatkowo zdynamizował i wyostrzył. Pyta przecież: czy mamy prawo obalać mity, na których wychowały się całe generacje i jaka będzie cena kulturowa takiej rewizji? Ale jednocześnie zastanawia się czy mamy prawo ukrywać prawdę tylko dlatego, żeby nie szargać uświęconej tradycją świętości. Są to dwie różne strony tego samego zagadnienia, a zarazem dwie przeciwstawne postawy wobec przeszłości czy raczej treści historycznych przekazów. I z tych różnych ujęć wynikają zaraz określone konsekwencje dla tego, co się potocznie nazywa świadomością narodową, która, w zależności od wyboru jednej z tych postaw, można poddawać rozmaitym manipulacjom. Nie jest to problem tylko teoretyczny, znamy go przecież z codziennej praktyki politycznej, że przypomniał tu choćby sprawę

Września 1939 r., którego o-ceny już za naszej pamięci przeszły ogromną ewolucję. Ale to tylko dygresja, przy pomocy której staram się zwrócić uwagę na uniwersalność refleksji pisarza. Bowiem dla Rymkiewicza sprawa legendy narosłej wokół Królowej Jadwigi, jest jak w poprzednich jego, najlepszych książkach, pretekstowa, co nie oznacza jednak, że ma charakter wyłącznie ilustracyjny. Zbyt długo terminował Rymkiewicz w romansopisarstwie historycznym, aby mógł się wyrzec mojego osadzenia problemu w realiach. Wrzucony, młody historyk trapiący losy Królowej, główny bohater książki, nie jest bynajmniej postacią papierową, a jego konflikt sumienia po wykryciu tajemnicy pierwszego małżeństwa Jadwigi jest także niewymyślony. Konflikt ten i wynikające z niego konsekwencje jeszcze bardziej rozwastwiają różne postawy wobec tradycji i historii, przy czym Rymkiewicz podejmuje tu nawet próbę ukazania mechanizmów, jakie rządzą mitem.

Droga Wrzuconego na ratusz, gdzie nieomylnie działa wszechwładny Kustosz, przypomniał w swoim nastroju wędrowkę Kafkowskiego bohatera na Zamek. Ten klimat absurdu uzmysławia nam niemość Wrzuconego, ale, jak przypuszczam, nie stanowi kompromitacji postawy głównego bohatera, z którym zresztą autor wyraźnie sympatyzuje. Dlatego pytanie: czy prawda jest złem? — brzmi w powieści szczególnie dramatycznie. Tych pytań jest zresztą więcej. I trudno winić autora, że nie daje na nie jednoznacznej odpowiedzi. Wzrost książki polega na tym, że zostały ostro i bezkompromisowo postawione, bo w końcu literatura, jak zgadza się większość krytyków, jest sztuką stawiania pytań. Rymkiewicz postawił je celnie i drapieżnie.

Władysław Rymkiewicz: „PORTRET KRÓLOWEJ”. Czytelnik, 1971, stron 145, cena zł 10-, nakład 20.200 egz.

Z literackich kontynentów

Ukazały się już cztery numery miesięcznika „Literatura na świecie”, przeznaczonego zarówno dla ludzi pióra jak i dla pewnego kręgu inteligencji humanistycznej. Czego można oczekiwać od czasopisma o tej nazwie, wydaje się to raczej oczywiste: przede wszystkim szybkiego udostępniania czytelnikowi najnowszych, a ponadto w jakiś sposób znamiennych (jeśli nie wybitnych) pozycji z dziedziny oryginalnej twórczości literackiej i krytyki, a także uzupełniania dotkliwych luk w naszej znajomości literatury obcej okresu dawniejszego. Dobrym prawem takiego pisma jest też chyba zamieszczanie publikacji, które mogą nie budzić (lub nie powinny) zainteresowania ogółu czytelników czasopism kulturalnych o bardziej masowym oddziaływaniu, czyli — materiałów o dużym stopniu tzw. kontrowersyjności.

Nowe czasopismo „Literatura na świecie” szeroką ręką ofiarowuje nam przegląd literatury tzw. trzeciego świata, i to już jak się zdaje, w zupełnie godziwej proporcji w stosunku do literatury z obszaru językowego światowych potencji, bo chociaż przekładów z angielskiego czy francuskiego jest bodaj najwięcej, to jed-

nak mieści się w tym i literatura wielu narodów, które tworzą jeszcze — przynajmniej częściowo — w języku byłych kolonizatorów. Chyba właśnie ten krąg tematyczny ma dla polskiego czytelnika największą wartość poznawczą.

Trzon wydanych dotychczas numerów stanowi, oczywiście twórczość artystyczna (proza i poezja), której lektura może upoważniać do wniosku, że to, co się pojawia na szerokim świecie z dziedziny poezji i małych form prozy, a zwłaszcza w krajach o bogatej tradycji literackiej, nie jest znów tak bardzo odkrywczym i przynajmniej kilkunastu naszych twórców nie ma powodów do przeżywania kompleksu „młodszych braci”.

Ciekawiej może jest z esejystyką literacką, reprezentowaną przez wiele oryginalnych pozycji, wśród których np. Maryny Cwietajewej — jeśli go wolno tak określić — liryczny esej „Żywe o żywym” swoją zawartością intelektualną i walorami formalnymi może zaskoczyć tych, co literaturę radziecką znają tylko z przekładów z poprawnie przetłumaczonych utworów, najchętniej drukowanych przez wiele naszych pism. Dobór pozycji radzieckich wydaje się tu na ogół szczęśliwy,

słychać w nim niejedną mniej znany ton choć po prawdzie od opublikowania eseju Cwietajewej minęło bez mała pół wieku. A jaką aktualność ma teraz to, co pisał przed wojną Paul Valery o rezonansie Baudelaire'a poza Francją?

Tu dotykamy kwestii niełatwej do rozstrzygnięcia. Jak daleko i jak często należy sięgać wstecz, w tym, co określa się w piśmie jako literaturę współczesną. Nowy przekład Dantego czy Szekspira, Goethego czy Dostojewskiego, a zwłaszcza przekład utworów nie tłumaczonych, zawsze będzie zasługiwał na uwagę, ale w innych wypadkach kryterium świeżej aktualności powinno chyba mieć pierwszeństwo.

Nie budził za to zastrzeżeń poświęcanie przez pismo, oparte na tłumaczeniach, tak wielkiej uwagi zagadnieniom przekładu i warsztatowi tłumacza. Jedynie to przecież forum dla ludzi tej niedocenianej na ogół profesji. Każdy numer przynosi też bardzo pozytywne kronikarskie zestawienie przekładów literatury polskiej za granicą w kolejnych, powojennych latach.

Mocną stroną wydanych dotychczas numerów są z pewnością — głęboko prze-myślane i odpowiednio wyważone — wstępne artykuły redakcyjne, dające w syntetycznym ujęciu pogląd na główne tendencje i nurty współczesnej literatury.

Te czytelnicze uwagi mają na usprawiedliwienie swej impresyjności niewielki jeszcze ilościowo dorobek nowego miesięcznika, któremu jednak udało się już odkryć dla nas niejedną nową ład na literackiej mapie świata, wypełnić niejedną białą plamę w naszej — dotychczas zbyt europocentrycznej — kulturalnej świadomości.



A. Gubareva. Litogravura

Przeszłość i terażniejszość

„Z drzew pozostały tylko kikuty — nawet ptaki opuściły te nieprzylutne miejsca... Myślimy trwali... Obowiązek co do znikomej wartości życia przenikała coraz głębiej w nasze serca. Był jeszcze humor, ale raczej wisielczy. Były salwy śmiechu, lecz śmiechu przez zły... Nie mieliśmy złudzeń, lecz trwaliśmy... Słowa uczestnika obrony Helu, Witolda Huberta, uzupełniają myśl, zawarte w odezwie dowódcy Floty, kontradmirała Józefa Unruka z dnia 29 września 1939 roku: „My, marynarze, nie oddamy tak szybko Helu. Niech świat wie, że Polska jeszcze istnieje chociaż tu, na tym skrawku ziemi. I że bronią tego skrawka Polacy — marynarze”.

Jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy... Druga wojna światowa zaktualizowała słowa Mazurka Dąbrowskiego w sercach tych, którzy prowadzili nierówną walkę o Jej istnienie, o Jej — Polski — miejsce na mapie, o Jej trwanie. Ukazanie sensu tragicznej walki o małą kawałek polski, boju, który trwał przez dłu-

gie 31 dni od 1 września do 1 października, dokładne, godzina po godzinie i dzień po dniu, zrelacjonowanie jej przebiegu — taki jest cel książki Edmunda Kosiara „Obrona Helu w 1939 r.”, wydanej przez Bibliotekę Pamięci Pokoleń (Książka i Wiedza, 1971). Walki, w której dysproporcja potencjału militarnego obu stron, polskiej niemieckiej, nie mogła i nie pozostawiała też nikomu najmniejszych złudzeń co do jej ostatecznego wyniku. Nikt jednak spośród obrońców nie zwątpił w jej sens, w jej wielki cel: jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy. I nawet wtedy, kiedy dowódca Floty w przekonaniu, że dalsza obrona straciła sens operacyjny i prowadzi już tylko do niepotrzebnego przelewu krwi, nawet wtedy, po wiadomości o kapitulacji, żołnierze i marynarze nie mogli przekonać się do zaprzestania walki. „Marynarze — wspomina mat Ksawery Gregorowicz z półstaję baterii przeciwlotniczej kal. 40 mm. — nie chcieli się pogodzić z kapitulacją, nie chcieli iść do

niewoli. Chcieli walczyć, i dopiero po długim tłumaczeniu wykonali mój rozkaz zniszczenia karabinów i sprzętu”. Niektórzy próbowali ucieczki, przedarcia się przez kordon blokujących niemieckich okrętów, przedarcia się do Szwecji, aby móc dalej walczyć. Udało się to tylko pościgowemu kutrowi straży granicznej „Batorem”, który niepo-

strzeżenie wyszedł z portu helskiego, zdołał wyminać okręty nieprzyjaciela... W publikacjach w rodzaju książki E. Kosiara chodzi przede wszystkim o przekazanie wiedzy o walce Polaków w latach 1939 — 1945 zwłaszcza tym, dla których te czasy są już historią. Ich celem jest utrwalenie pamięci, „bo przecież pamięć o poległych i żyjących bohaterach zmagani wojennych — pisze na końcu swej

książki E. Kosiara — jest najlepszym pomnikiem skła danego im holdu i wdzięczności”. Taki jest społeczny cel wszystkich publikacji ogłaszanych w Bibliotece Pamięci Pokoleń, wydawanej przez Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa. Historia po raz nie wiadomo już który staje się więc — mówiąc słowami Cycerona — testis tempo-

rum, świadkiem czasów, nośnikiem zbiorowej pamięci i historycznej tradycji. Publikacje te stanowią jednocześnie odpowiedź tym wszystkim, którzy sądzą, że nurt polskiej tradycji, który wyznaczają takie hasła, jak Warszawa, Westerplatte, Hel i bardzo wiele innych, jest bezsensowny, że jego doświadczenia są sprzeczne z potrzebami życia w warunkach pokojowych, w warunkach pokojowego bu-

downictwa socjalizmu. Sprawy to jeszcze nie przebrzmiały, o czym świadczą dowodnie dyskusja na VIII Plenum KC PZPR.

Czy jednak dostarczenie czytelnikowi wiarygodnego świadectwa czasów, to już wszystko, czego oczekujemy od tej i innych jeszcze tego rodzaju książek? Chyba nie. Dokumentowanie walki Polaków w 1939 r. i wielokrotnie później, to przecież ukazanie wielkiego dramatu pragnień i możliwości. I tutaj, gdy dochodzimy do najgłębszych pokładów ludzkich przeżyć, winniśmy — a nie sposób tego pominąć — zastanowić się nad tym, czy możliwości nasze mogły być większe? Słusznie mamy pretensje do przedwzrostowych rządów za stan nieprzygotowania Polski do wojny, podnosi je również E. Kosiara. Jednakże nie kwestionując, że mogło być pod tym względem lepiej, że wiele zawiniła tu przedwojenna polityka — o czym pisano bardzo wiele — musimy sobie uświadomić, że rachunek potencjałów obu stron wskazuje, że nie mogło być przecież zupełnie dobrze, że nawet najmędrsza polityka, gdyby taka była, nie sprawiłaby, że w 1939 r. moglibyśmy odnieść

zwycięstwo nad Niemcami. Jeżeli więc E. Kosiara i wielu innych autorów powiada, że największy wysiłek zbrojny nie mógł zniwelować „błędów naczelnych władz popełnianych niemal przez cały okres międzywojenny”, to warto zauważyć, iż z tego słusznego stwierdzenia nie może wynikać wniosek, że gdyby nie błędna polityka, to wojnę 1939 r. byśmy wygrali. „Niemcy były w 1939 prężnym mocarstwem światowym, Polska zaś średniej wielkości państwem, obciążonym trudnościami wewnętrznymi i konfliktami społecznymi i narodowościowymi. Bezpośrednia konfrontacja wojenna takich dwóch państw na polu walki — podkreśla prof. Tadeusz Jędruszczyk — nie mogła nie zakończyć się zwycięstwem Niemiec”.

W roku 1939 mogliśmy co najwyżej mniej ulec. I rzeczywiście broniliśmy się lepiej, niżby na to wskazywał rachunek sił, i to jest już dorobkiem patriotyzmu, ofiarności i walorów moralnych obrońców, które sprawiły, żeśmy się stali dla wroga orzechem trudniejszym do zgrzylenia, niż wielokrotnie wcześniej od nas.

JÓZEF GRZELAK

HEL — 1939

PREZENTACJE

— Chirurgia plastyczna kojarzy się nam, laikom, przede wszystkim z poprawianiem urody. Czy mamy rację? — pytam prof. dr. Janusza Bardacha, kierownika Kliniki Chirurgii Szcękowo-Twarzowej Akademii Medycznej w Łodzi.

— Oczywiście, że nie. To, co pani nazywa poprawianiem urody, a co w języku medycznym nazywa się chirurgią estetyczną, w istocie stanowi tylko jeden z działów chirurgii plastycznej. Chirurgia plastyczna jako nowoczesna specjalność obejmuje kilka zasadniczych dziedzin. Na pierwszym miejscu postawiłbym doraźne leczenie urazów i oparzeń, jak też ich następstw w postaci ubytków tkanek i zniekształceń. Innym ważnym działem w chirurgii plastycznej jest leczenie wad rozwojowych twarzy i innych części ciała. Chirurgia rekonstrukcyjna czyli odtwórcza, jak już sama nazwa wskazuje, odtwarza brakujące części ciała. Łączy się to zazwyczaj z wieloetapowymi zabiegami operacyjnymi, w których szeroko stosuje się przeszczepianie tkanek oraz różnego rodzaju wszczepy. Ten dział jest jednym z najtrudniejszych, zwłaszcza w odniesieniu do twarzy, gdyż wiąże się z rekonstrukcją tak złożonych kształtów, jak nos, policzek, powieka czy małżowina uszna. No, i wreszcie kolejnym działem jest chirurgia estetyczna, która wśród ogółu społeczeństwa budzi największe zainteresowanie.

— Czy ludzie, którzy chcą poprawić swoją urodę, rzeczywiście wymagają operacji plastycznych?

— Uważam, że tym ludziom pomoc należy się w takim samym stopniu, jak wszystkim innym chorym, gdyż cierpią oni z powodu nawet nieznacznych zniekształceń swojej twarzy. Czasem leczenie ogranicza się wyłącznie do zabiegu operacyjnego, czasem potrzebna jest pomoc psychologa i psychiatry. Bardzo często bowiem nawet niewielkie obiektywnie zniekształcenie twarzy powoduje nieadekwatne reakcje psychiczne: nerwice i kompleksy.

— Większość pacjentów poddających się operacjom estetycznym stanowią chyba kobiety?

— Dawniej zdecydowanie tak. Ale w ostatnich latach coraz liczniej zgłaszają się do nas młodzi mężczyźni.

— Jak to się stało, że Pan Profesor zainteresował się chirurgią plastyczną?

— W czasie studiów w Moskwie interesowałem się medycyną doświadczalną. Po ukończeniu studiów otrzymałem dwie propozycje: jedną — odbywanie aspirantury w Instytucie Medycyny Doświadczalnej, drugą — w



Fot. J. Surowiak

JANUSZ BARDACH

Klinice Chirurgii Szcękowo-Twarzowej. O ostatecznym wyborze, który dla mnie był wyjątkowo trudny, bardziej zdecydowała żona niż ja sam. Studia aspiranckie odbywałem m.in. w szpitalu chirurgii odtwórczej w Moskwie, gdzie leczono chorych, rannych w twarz podczas wojny. Tam przekonałem się, jak ogromną pomoc może dać tym nieszczęśliwym ludziom chirurgia plastyczna. Moim mistrzem, który wprowadzał mnie w tajniki tej trudnej

dziedziny, był prof. Jewdymow.

— Pan Profesor ma na swoim koncie liczne publikacje naukowe. Która z nich uważa Pan za najważniejszą?

— „Rozszczypty wargi i podniebienia”, która ukazała się w 1967 roku. Jest to jedna z nielicznych monografii w światowym piśmiennictwie medycznym, poświęconą temu problemowi.

— Czy ta wada występuje często?

— Tak. Bardzo często. Na 500 noworodków — jak wynika z badań prowadzonych w Łodzi przez naszą klinikę — jedno rodzi się z tą właśnie wadą. W 1962 roku w łódzkiej klinice powstał pierwszy dotychczas w Pol-

bitki jakiejś książki. Czy to najnowsza Pańska praca?

— Tak. To „Chirurgia plastyczna twarzy”, pierwszy polski podręcznik dla lekarzy, specjalizujących się w tej dziedzinie chirurgii.

— Ilu Pańskich wychowanków jest wśród nich?

— Dwoje moich współpracowników to już docenci. Jeden z nich objął katedrę i klinikę gdańskiej Akademii Medycznej. Osiemnastu moich współpracowników uzyskało stopień naukowy doktora nauk medycznych, a cztery prace doktorskie obronił lekarze z innych ośrodków.

— A ile lat pracuje Pan Profesor w klinice?

— Łatwo policzyć. Zaczęłem tu pracować w 1954 roku. Twórcą łódzkiej kliniki był prof. Meissner, który położył olbrzymie zasługi dla rozwoju chirurgii szcękowo-twarzowej w naszym kraju. W chwili obecnej klinika jest jedną z nielicznych w Polsce, specjalizujących się w chirurgii plastycznej.

— Które z przeprowadzonych przez Pana operacji uważa Pan za najtrudniejsze?

— Najtrudniejsze są operacje pourazowe, bo nie można posługiwać się wtedy gotowym schematem. Każda z nich jest niepowtarzalna i wymaga podjęcia natychmiastowej decyzji o sposobie przeprowadzenia zabiegu. Wymienię takie przypadki, które utkwiły mi w pamięci, ponieważ natychmiastowa pomoc była jednoznaczna z uratowaniem życia. Pierwszy przypadek miał miejsce przed dziesięciu laty. Do szpitala przywieziono robotnicę z nocnej zmiany. Kobieta była nieprzytomna, oskalpowana, kości czaszki odkryte. Włosy wkręciły się w pas transmisyjny. Po zdartą skórę pojechał do fabryki radiowóz milicyjny. Dzięki temu zdaliśmy wszczepić pacjentce zdarty skalp przed obumarciem tkanki. Innym razem przywieziono 11-letniego chłopca, który wdrapał się na słup wysokiego napięcia i został porażony prądem. Chłopak miał zwęgloną prawą rękę oraz tkanki ciemienia, potylicy i karku. Także i tego chłopca zdołaliśmy uratować.

— Słyszałam, że bardzo długo trzeba czekać na kolejną operację do kliniki.

— Dziwi się pani? Leczenie wymaga czasami dłuższego pobytu w klinice, a nasza warunki lokalowe są

— Widzę na biurku od-

więcej niż skromne. Mamy 45 łóżek, w tym 10 na pododdziale dziecięcym. Natomiast pacjenci przyjeżdżają z całego kraju, niekiedy z zagranicy. Efekt jest taki, że na przyjęcie do kliniki pacjent musi czekać kilkanaście miesięcy. Oczywiście nie dotyczy do chorych, wymagających natychmiastowej pomocy specjalistycznej. Niestety, nasze starania o poprawę warunków lokalowych jak do tej pory nie przynoszą rezultatu.

— Praca w takich warunkach może czasem irytować.

— I irytuje.

— Jest Pan zdenerwowany, a za chwilę ma Pan operować. Co Pan robi, żeby się uspokoić?

— Nic. Przygotowuję się do operacji i złość przechodzi.

— A co Pana najbardziej złości?

— Brak dobrej, sprężystej organizacji, ułatwiającej pracę oraz konieczność zajmowania się wieloma sprawami administracyjnymi, które często odrywają mnie od zasadniczych zajęć.

— Jak Pan najlepiej odpoczywa?

— W lesie i nad wodą. Poza tym dużo czytam. Interesuję się też sportem, który już, niestety, coraz mniej uprawiam. Muszę się jednak pochwalić, że w czasie studiów w Związku Radzieckim zdobyłem nawet wysokie kategorie sportowe.

— W jakiej dyscyplinie?

— Zdziwi się pani. W siatkówce.

— Czy dużo czasu ma Pan na odpoczynek?

— Raczej nie. W dużym stopniu pomaga mi właściwa organizacja zajęć. Na przykład na grzyby jadę czasem o czwartej rano, o wpół do dziewiątej jestem w klinice.

— Musi Pan być wobec tego znakomitym organizatorem, bo pełni Pan także funkcje prodziekana do spraw nauki Wydziału Lekarskiego...

— ... oraz przewodniczącego Rektorskiej Komisji do Spraw Badań Naukowych. Poza tym jestem członkiem Rady Naukowej przy Ministerstwie Zdrowia, a także członkiem wielu towarzystw naukowych, m.in. Brytyjskiego Towarzystwa Chirurgii Plastycznej, Królewskiego Towarzystwa Medyczne-

go, Międzynarodowego Towarzystwa Chirurgii Plastycznej. Od wielu lat jestem także przewodniczącym Zespołu Absolwentów Uczelni Radzieckich przy Zarządzie Łódzkim TPP-R. Starczy?

— Stareży.

— No, niezupełnie, bo ostatnio przybyło mi zajęć. Przygotowujemy się bowiem do Zjazdu Sekcji Chirurgii Plastycznej, który odbędzie się na początku listopada. Jest to trzeci zjazd organizowany w Łodzi, przy czym, jeśli na pierwszym program sprawozdał się do pięciu referatów, to na listopadowy zgłoszono ich 128. Fakt ten najlepiej świadczy o rozwoju chirurgii plastycznej w Polsce w ostatnich latach. Niestety nie idzie on w parze z wiedzą społeczeństwa o tej dziedzinie chirurgii.

— Przykłady?

— Choćby rozpowszechnione mniemanie, że operacje estetyczne są luksusem, dostępnym tylko dla nielicznych.

— A to nieprawda?

— Oczywiście, że nie. Wszędzie spotyka się ludzi, którzy nie są zadowoleni ze swego wyglądu, którzy z tego powodu czują się upośledzeni i nieszczęśliwi. Każdy z nich ma prawo uzyskać pomoc od chirurga-plastyka.

— Nazwa „chirurgia plastyczna” kojarzy się ze sztuką.

— I nie bez powodu. W zakresie pracy chirurga-plastyka wchodzi przecież elementy pracy twórczej. Zmienia on twarz ludzką, odtwarzając brakujące części, lub usuwając oszpecenia. Przeszczepia się najczęściej żywe tkanki, pobrane od tego samego człowieka, którego się operuje. Odtworzenie z tych tkanek takich brakujących części twarzy, jak nos czy ucho, wymaga i wyuczucia artystycznego i doskonałego opanowania techniki operacyjnej. Każda część którą się tworzy na nowo, powinna harmonizować z całością twarzy i odpowiadać estetycznym wymaganiami chorego. Chirurgia plastyczna jest w stanie zmienić twarz ludzką i w ten sposób nie tylko przywrócić pacjentowi radość życia, ale i umożliwić mu normalny kontakt ze społeczeństwem. Ten moment jest w naszej pracy najważniejszy i daje największą satysfakcję.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

HALINA IVANIČKOVA

WSPÓŁCZESNOŚĆ I ARCHETYPI

MARIA KUNCEWICZOWA należy do grupy wybitnych polskich pisarek dwudziestolecia międzywojennego. Debiutowała w 1927 roku obrazoburczą książką „PRZYMIERZE Z DZIECKIEM”, która wywołała znaczne poruszenie w konserwatywnych kręgach opinii społecznej, wzbudziła nieprzyjemny, odważnym postawieniem kwestii macierzyństwa w życiu kobiety (nie jako stanu łaski, ale twardej walki z własnym egoizmem). Do rozważań nad stanami duchowymi, jakie rodzą w kobiecie podstawowe sytuacje jej życia, takie jak dojrzewanie, panieństwo, pierwsza miłość, małżeństwo itp. powracała również w następnych swoich powieściach, nowelach, sztukach teatralnych i radiowych („TWARZ MĘŻCZYŹNY”, „DWA KSIĘŻYCE”, „DNI POWSZEDNIE PANSTWA KOWALSKICH” itp.), ale dopiero po-

wieść „CUDZOZIEMKA” — znakomite psychologiczne studium kobiecej frustracji i neurozy, zrodzonej z niemożności realkowania siebie (książka napisana w roku 1935, a w 1937 odznaczona nagrodą miasta Warszawy) — pozwoliła jej zająć wybitną pozycję w literackiej konstatacji między takimi gwiazdami okresu międzywojennego jak Maria Dąbrowska, Zofia Nałkowska i inne. Wkrótce potem powieść ta, przełożona na szereg języków, zyskała jej sławę europejską.

Tymczasem w roku 1939 wojna i tragiczna doła Polaków wypędziły pisarkę na dłuższy czas na obczyznę. Mieszkała na emigracji, najpierw we Francji i w Anglii, potem w Stanach Zjednoczonych, gdzie wykładała na uniwersytecie w Chicago literaturę polską. Również i za granicą nader aktywnie rozwijała swoją twórczość pisarską.

W Londynie w latach 1946-48 ukazały się dwie nowe jej książki: „KLUCZE” i „ZMOWA NIEOBECNYCH”. W Paryżu w roku 1952 opublikowano powieść „LE-SNIK”.

W Londynie w roku 1956 wydała również znakomitą antologię współczesnej polskiej literatury i filozofii pod nazwą „THE MODERN POLISH MIND”. Interesujące refleksje z lat pobytu za granicą znajdujemy w jej najnowszej książce, tomie prozy eseistycznej „FANTOMY”. Wziewy uczuciowe i ideowe pisarki z krajem rodzinnym — mimo długiego pobytu na obczyźnie — pozostały nie naruszone. Wszystkie jej ważniejsze utwory współczesne wydano w Polsce a ona sama niejednokrotnie odwiedzała swoją ojczyznę. W ostatnim czasie zamieszkała ponownie w swoim przedwojennym domu, w uroczym miasteczku Kazimierz nad Wisłą, dzieląc czas między podróż i pracę pisarską w swojej polskiej siedzibie.

Powieść „TRISTAN 1946” (jak dotąd szczytowej osiągnięciem dojrzałej twórczości Marii Kuncewiczowej) powstała podczas pobytu za granicą. Zrodziła się z przedziwnej psychologicznej symbolizacji wojennych wstrząsów — i oczarowania, zadumy nad pochmurną przyrodą wybrzeża Kornwalli, krainy celtyckich ba-

śni i legend, wśród których pierwsze miejsce zajmuje właśnie ta o sławnych średniowiecznych kochankach — „plekna opowieść miłości i śmierci” o tym jak Tristan i Izolda „w wielkiej radości, w wielkiej żalobie, miłowali się, później zaś się pomarli w tym samym dniu, on przez nią, ona przez niego”. „Miłość i śmierć” — słowa otwierające mistyczne dzieło Tristana i Izoldy, są słowami magii, które głęboko nas wzruszają i wywołują daleko posuniętą asocjacje. W intymnym zetknięciu z nimi odczuwamy, iż wступujemy w krąg „spraw ostatecznych” człowieka, w sferę „sacrum”. I właśnie sakralny charakter problemu tłumaczy, dlaczego ten mit fascynuje całą europejską kulturę. Zaczynając od podań celtyckich, poprzez średniowieczne poematy Beroula i Gotfrida ze Strassbourga, które nadają dworski blask „barbarzyńskim śpiewom” Celtów, przez modernistyczne, neoromantyczne opracowanie Wagnera i Bédiera aż po Tomasza Manna, Chestertonu L. Kuncewiczową watek ten w swoim zasadniczym mitycznym kształcie, acz w różnych historycznych wersjach jest w kulturowym krwioobiegu Europejczyka nieustannie obecny. Nie dość na tym, jego ślady znajdujemy we wszystkich wielkich dziełach

kultury europejskiej, opiewających miłosną namiętność. Czy to będą losy Romea i Julii, tragedie bohaterów Stendhala, dramata madame Bovary czy Anny Kareniny, która kończy swe życie śmiercią samobójczą, mamy zawsze do czynienia z tym samym archetypem miłości, która wiedzie do zniszczenia. W splaszczonej i sprofanowanej formie ten sam archetyp pojawia się w nieskończoność zalewającej dzisiejszą masową produkcję literacką i filmową. Gdyż „miłość szczęśliwa” — jak słusznie konstatuje Denis de Rougemont w swojej książce „L'amour dans l'Occident” — „nie ma miejsca w dziejach literatury europejskiej”.

„TRISTAN 1946” Marii Kuncewiczowej jest dalszą — tym razem bardzo nowoczesną — próbą sprawdzenia nośności europejskiego archetypu miłosnego w XX wieku, zweryfikowania go z punktu widzenia doświadczeń i psychiki człowieka, który żył w epoce komórek gazowych, a wreszcie próbą odnalezienia wewnętrznej logiki ukrytej za symboliką mitycznego wątku, mimo licznych psychologicznych sprzeczności, w jakie watek ten jest uwikłany.

Bohaterowie Kuncewiczowej żyją w świecie, który oszalał, który stracił poczucie odpowie-

dzialność za swoje czyny, który sam nie wie dokąd zmierza. Oczywiście, nie wszyscy uświadamiają sobie tę sytuację. Anglia, która w czasie wojny nie znała komórek gazowych, zachowuje jeszcze nienaruszoną wiarę w trwałość starego porządku, stoi na straży dobrych obyczajów, wierzy w swoje zupy, w swój bon-ton, w dalszym ciągu trwa na pozycjach splendoru izolation.

W ten właśnie świat wkracza nowoczesny Tristan — w zasadzie bardzo prosty chłopiec, przybywający z kraju, który przeszedł wszystkie nieszczęścia XX wieku, wkracza z intuicyjnym przekonaniem, że wszystkie stare zasady przestały teraz obowiązywać, że dobre wychowanie i ideały, które za pośrednictwem lekcji muzyki i francuskiego przyswoił sobie w dzieciństwie (podobnie jak jego antenat, który uczył się kodeksu rycerskiego) nie mają żadnego związku z regulami gry, które panują w świecie. Jego sposób myślenia gruntownie zmieniony przez wojnę (metaforycznie: zatruty jadem smoczego języka) nie znajduje i nie może znaleźć punktów styczności ze społeczeństwem mniej więcej ustabilizowanym, które, mimo całej swojej wielkiej dojrzałości kulturalnej nie jest w stanie zrozumieć kilku podsta-

POŁKA
Książka
Mi

PAMIĘTIK CHŁOPA
Z XIX WIEKU

Institut Wydawniczy PAX rozpoczął wydawać serię pamiętnikarską, która uzupełni niewątpliwą lukę istniejącą od lat w dziedzinie literatury wspomnieniowej.

Nie tak dawno wyszły wspomnienia Leona Drewnickiego pt.: „Za moich czasów” odnalezione w Bibliotece Narodowej w Paryżu, które obok słynnego pamiętnika Deczyńskiego są jednym z znakomitych utworów pisanych przez chłopca żyjącego w XIX wieku.

Leon Drewnicki, którego młodość upłynęła wśród taborów wojennych, miał się po trosze wielu zawodów, zaznał nieprawdopodobnych przygód wędrując z jednego zaboru do drugiego, znajdując się nieustannie „raz na wozie raz pod wozem”, a w końcu za udział w powstaniu listopadowym, do którego wyruszył z uzbrojonym przez siebie oddziałem, wyemigrował z kraju i w Paryżu spisał swoje niezwykle pamiętniki.

Niewiele jest utworów w naszej literaturze napisanych z taką świeżością, werwą i humorem, językiem prostym i ciętym.

W treści pamiętnika Drewnickiego przewijają się nazwiska historyczne: Czartoryskiego, Zamojskiego, Bema, Józefa Ponia-towskiego, Skrzynieckiego, Prądyńskiego, Księcia Konstantego i choć nie zawsze fakty historyczne pokrywają się z tym co podaje Drewnicki, przecież nie można mu zarzucić fałszerstwa. Jego pamiętnik jest autentycznym, surowym i barwnym odbiciem epoki, w której żył autor.

E.L.

Leon Drewnicki: **ZA MOICH CZASÓW**. Wyd. PAX, 1971 r. Stron 288. Cena 40 zł.

Sezon featralny jeszcze się nie zaczął. Z reguły wrzesień jest połowicznym startem teatrów. Dogrywa się sztuki z poprzednich miesięcy, wznowia premiery sprzed urlopu, rozpoczyna dopiero próby nad sztukami, które otworzyć mają sezon właściwy.

W tym okresie teatroman niewielki ma wybór, co stało się już pewną prawidłowością. Obecny wrzesień wydaje się pogłębiać jeszcze ten stan rzeczy. Duża scena Teatru Nowego nieczynna, Teatr Powszechny tkwi dotąd w starym repertuarze (piszę te słowa 15. IX.). Honor domu ratuje Teatr im. Jaracza, który wznowił ledwie napoczętą przed urlopem komedię Scribe'a „Szkłanka wody”.*

Jest to komedia w pewnym sensie klasyczna. Nie ze względu na to, by chciało się temu XIX-wiecznemu autorowi przyznać miarę klasyki, lecz z uwagi na wzorową, wręcz architekturę utworu. Nic tu przypadkowego, wszystko przewidziane, wyważone, zmierzające gwałtownymi zворотami do kolejnych spiężeń. Mogłaby więc „Szkłanka wody” służyć jako lekcja konstrukcji dramatycznej, gdyby współcześnie tego typu regularności się cenilo.

Realści zarzucą Scribe'owi, że komedia jego nie odzwierciedla autentyczności życia, że tworzy on sztuczne, umowne rusztowania, po których porusza się wprawdzie z wdziękiem, ale z pełną ambiwalencją moralną. Zwolennicy teatru, który operuje obrazem, znakiem, symbolem, który tworzy świat własny, intensywniejszy, bardziej gęsty od zwykłego porządku rzeczy, ci także nie znajdą u Scribe'a interesującego materiału dla siebie.

Ale i sąd jemu współczesnych niezawsze był pochlebny dla autora „Szkłanki wody”. Program teatralny cytuje opinię pióra Aleksandra Dumasa: „Był on improwizatorem w historii naszego dramatu, najbłędszym w manipulowaniu pozbawionymi życia postaciami. Był Szekspirem chińskich cieni”. Czy to pochwała? Jeżeli nawet tak, to bardzo względna.

Postaci pozbawione życia — to zarzut. Zresztą słuszny. Na przykładzie „Szkłanki wody” stwierdzić można, że bohaterowie Scribe'a są jak bezduszne kukiełki, którym autor zawiesza z góry etykiety. Nie ma głębszej motywacji działania, nie ma dialektyki postaci. Księżna Marlborough i lord Bolingbroke są jak teniści skupieni wyłącznie na odbiciu ostro plasowanej piłki.

W miarę upływu akcji komedii zaczynamy wątpić, czy księżna i Bolingbroke'owi istotnie zależy na ostatecznym zwycięstwie. Upajają się samą grą, na sparowany atak przeciwnika odpowiadają błyskawicznym kontratakiem, z góry ciesząc się chyba na kolejną ripostę, z którą przyjdzie im się zmierzyć.

Walkę stronniców whigów i torysów redukuje Scribe do pasma wzajemnych zaskoczeń i szantażów, do salonowego pojedynku na słowa, do zmiennych sytuacji, w

których triumf przechyla się to na jedną, to na drugą stronę. Łańcuch ten można by w zasadzie ciągnąć w nieskończoność, gdyby autor nie przerwał go w dość dowolnie obranym ogniwie.

Ta arbitralność Scribe'a w stosunku do postaci sztuki, jak również i w stosunku do wydarzeń historycznych, które służą mu za pożywkę, to jednocześnie słabość i siła tego komediopisarza. Nie jest psychologiem ani plewą uczuć ludzkich, ale znać go należy za żonglera słowa, który bezduszność swego teatralnego świata rekompensuje mistrzowską sprawnością w jego demonstrowaniu.

Tematyka „Szkłanki wody” jest historyczna. Rzecz dzieje się za panowania tak zwanej dobrej królowej Anny, ostatniej z dynastii Stuartów na tronie brytyjskim (1702—1714). Okres ten pokrywa się niemal w czasie z trwaniem wojny sukcesyjnej hiszpańskiej (1701—1714), w której obok innych państw europejskich toczyły ze sobą walkę Anglia i Francja Ludwika XIV. Wyniszczająca wojna ciążyła ludowi angielskiemu nieznośnie, co wykorzystywali torysi w walce z rządzącą partią whigów.

Tak wyglądała w uproszczeniu sytuacja w świetle historii. Scribe sprowadza ją jednak do błyskotliwych gierki słownych, do igraszek nie poddających się żadnym prawidłowościom. Wszystko w zasadzie może się stać, gdyż wszystko zależy od przypadku, lub od kaprysu. Wojna zakończy się, jeżeli Bolingbroke'owi uda się przechytzić księżnę Marlborough. Losy państwa i może Europy zawisły w szczytowym punkcie komedii od tego, czy królowa Anna poprosi głośno w czasie przyjęcia dworskiego o szklankę wody.

Wszystko to bardzo zabawne, musujące jak wino szampańskie, ale przecież kryje się za tym także swoista historiozofia Scribe'a. Określić ją można jako agnostycyzm, niewiarę w możliwość doszukania się jakiegokolwiek logiki i praw rządzących historią. Do brze, że poglądy autora wypowiedziane w formie tak lekkiej nie barzo nas dziś obchodzą. Nie przeszkadzają też bawić się znakomicie słuchającym mistrzowsko napisanego dialogu.

Tak też potraktowana została „Szkłanka wody” przez reżysera, Marię Kaniewską, by zapewnić widzowi optymalną możliwość smakowania dowcipnych i misternych kwestii wypowiadanych przez aktorów. Nieskomplikowane budowanie sytuacji scenicznych i nie silenie się na tworzenie głębszych motywacji przy jednoczesnej dbałości o czyste przekazywanie dialogu sprzyjało temu podstawowemu założeniu. Przedstawienie toczy się warkot, od zakrętu do zakrętu, jest kulturalne, nie przerysowane.

Główne zadania aktorskie spoczywają na wykonawcach ról dwóch wielkich antagonistów: na Marii Kozierskiej (Księżna Marlborough) i Bogumile Antczaku (Lord Bolingbroke). Kolejne starcia tego duetu stanowią przecież

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Gdy szklanka wody zmienia losy państwa



Alina Kulikówna — Królowa Anna, Maria Kozierska — Księżna Marlborough, Bogumił Antczak — Lord Bolingbroke
Fot. G. Wyszomirska

owe zwroty akcji, o których była mowa. Kozierska, choć przypadło jej w udziale grać rolę złego ducha królowej, tworzy postać bynajmniej nie odrażającą. Jej księżna wydaje się raczej dobrze bawić starcami z Bolingbroke'iem niż kierować się nienawiścią. Podobnie Antczak, grający Bolingbroke'a z kulturą i precyzją nie odmierzoną dozą humoru, sugeruje, że przywódca torysów znajduje się pod niewątpliwym urokiem swojej politycznej przeciwniczki.

Alina Kulikówna postarała się wydobyc całą kobiecą niekonsekwencję Królowej Anny. Dyskretnie, acz czytelnie akcentuje nie ujawnione do końca uczucia władczyni do młodego oficera gwardii. Ze znacznie gorzej nakreślonej

przez autora postaci Abigail udało się Barbarze Marszałek wydobyć sporą dozę ciepła, humoru i wdzięku. Mniej powiedlo się Ryszardowi Zuromskiemu w roli Mashama. Ta angielska odmiana d'Artagnana, naszkicowana przez aktora grubą krechą, wypadła nieco trywialnie.

W pozostałych rolach wystąpili: Feliks Żukowski (Markiz de Torcy), Zygmunt Urbański (Thompson) i Alicja Cichecka (Lady Alberman).

* Augustyn Eugene Scribe: „Szkłanka wody” (Le verre d'eau ou les effets et les causes), komedia w 5 aktach; przekład — Michał Rusinek i Stanisław Ostoja; reżyseria — Maria Kaniewska; scenografia — Jerzy Ławacki; asystent reżysera — Zygmunt Urbański; asystent scenografa Anna Ekiert.

wowych prawd, które przyniósł XX wiek. W tej sytuacji poznała Izolda Jasnowłosa-irlandzką Kathleen. Jest to dziewczyna odznaczająca się psychiką bogatszą, bardziej wrażliwą niż inni, a ponadto jest też cudzoziemką, pochodzi z kraju, którego Angley nie rozumieją — z kraju, w którym nagromadzone są pokłady romantyzmu, bohaterstwa i nie dającego się przewidzieć w swych skutkach szaleństwa. To jest głównym warunkiem ich wzajemnego zrozumienia, gdyż i ojczyzna Michala już od stuleci odznacza się podobnymi właściwościami. Miłosna namietność, która ich oboje opanowuje, jest w interpretacji Kunczewiczowej — najpierw oczarowaniem duszy dwóch osamotnionych i zagubionych w dwudziestym wieku istot, dopiero później erotyką. Przy tym wszystkim jest to casus wyjątkowy — jeden z milionów. Kunczewiczowa zauważa, iż wówczas gdy są sami we dwoje, zachowują się tak jak „zwierzęta w stanie łaski” — zewnętrzny świat przestaje dla nich wtedy istnieć. Dlaczego więc jednak Michal — podobnie jak średniowieczny Tristan — oddaje Kathleen królowi Markowi, dlaczego sam jej nie pojmie za żonę? I dlaczego Kathleen się na to zgadza? Kunczewiczowa bardzo szczegółowo analizuje

motywy tego postanowienia. W zasadzie, jeśli dobrze się im przyjrzeć, pozostają te same co w średniowiecznej legendzie: zobowiązanie, jakie zaciągnął Tristan w stosunku do Marka, poszukiwanie własnej drogi realizowania siebie, która leży poza obrębem wspólnego małżeństwa Tristana i Izoldy, a na której pomoc Bradleja-Marka dla każdego z nich jest właściwie nieodzowna, wreszcie — last but not least — głęboka niechęć ich obojga do małżeństwa jako instytucji (czyli znów współczesny ekwiwalent średniowiecznej apoteozy dworskiej miłości, która rozwija się poza obrębem poświęconych związków — motyw, który w nowszych interpretacjach starej legendy uważany jest za decydujący dla wyjaśnienia wewnętrznej logiki zawartych w legendzie sprzeczności). Byłoby zbyt techniczne bardziej szczegółowo omawianie losów miłości nowoczesnego Tristana i nowoczesnej Izoldy; przyczyn, które wpływają na ich rozłączenia się i powroty objaśniona w książce Kunczewiczowej, przyjmując za punkt wyjścia charakterystyczną dla współczesnego człowieka dialektykę samotności i wyobcowania, nieustannych odwróceń i powrotów do społeczności. Zwróćmy wszakże uwagę na jedną sprawę, ku której autorka

nieustannie powraca: kłamstwa Michala. Michal kłamie i oszukuje tak samo jak Tristan, Izolda nie pozostaje za nim w tyle. Dlaczego? Nowoczesny Tristan i Izolda kłamia, ponieważ myślą, że w świecie, który oszalał, prawda jest bez znaczenia. A dawny Tristan? I dawny Tristan żył w świecie, który wbrew pozorom, nie był wcale lepszy. Pozabawili go, tak samo jak Michala, wszystkie wartości i zmuszali do nieustannego ocierania się o śmierć. Pojęcie prawdy było w nim również zawikłane, jak dzisiaj. Ponieważ — zdaniem Kunczewiczowej — szaleństwo i występek nie są właściwościami XX wieku, są integralną częścią ludzkiej egzystencji w ogóle. „Praktycznie” — pisze autorka — życie w XII wieku było nie mniej zabójcze niż w epoce pleców” i dlatego „kornwalijskie lesby” miały raczej poznać w Michale Tristana.

Między polskim Michalem, wypędzonym z ojczyzny, wzrastającym w cieniu śmierci, a osieroconym Tristánem wygnanym z ojczyzny, zrodzonym w nieszczęściu, istnieje zatem głębokie pokrewieństwo dusz w czasie ponadhistorycznym. To, co przeżywa dziś Michal, ma swój prawzór w przeszłości: jego cierpienie jest tym prawzorem uświęcone, symbolizuje wieczną

dołę człowieka, tę samą mimo zmian, które przynosi czas. Michal-Tristan i Izolda-Kathleen kłamią — twierdzi dalej autorka — również dlatego, że mają swoją własną prawdę, którą odczuwają, jako głębszą niż te prawdy, które im ofiarowuje świat. Dlatego więc za zdradzieństwa chronią ją przed światem. Co jednak jest ich prawdziwą miłością? Ta miłość, w której długi razem nie mogą wytrwać? którą potem zdradzają: on dla Izoldy o Białych Dłoniach — amerykańskiej Kate niekochanej, ona dla Marka-Bradleja, którego też nie kocha? Miłość, której potrzebna jest cielesna rozłąka, aby jej płomienie mogły tym wyżej wzbijać się w marzeniu i tęsknocie? Miłość, która w zakończeniu powieści umiera? Umiera na banalność? Im głębiej zastanawiamy się nad tym problemem, tym większe napotykaamy niejasności. Poznałszy liczne okoliczności zewnętrzne przed nami, podobnie jak w starodawnej opowieści, zakryte. Kunczewiczowa wprowadziła pozostała pierwotną wersję mitu nietkniętą, a to właśnie pozwala jej podnieść indywidualne przeżycia Michala w planie społecznym do wielkiej metafory ludzkiego losu, lecz równocześnie usiłuje starodawną opowieść zlaicyzować. Przejawił się

to najwyraźniej w zakończeniu powieści. To mityczne, gdy kochankowie umierają fizycznie, gdyż nie mogą bez siebie żyć, zmienia na bardziej powszednie, zgodniejsze z epoką, łatwiejsze do uzasadnienia. Kochankowie mogą żyć dalej, „tylko” ich miłość umiera. Jest to koniec wprawdzie równie przejmujący jak w starej legendzie, ale pozbawiony poezji i technienia „spraw ostatecznych” człowieka. Czujemy się zubożeni niesłusznym o sakralny aspekt mitu — to zdumiewające spojenie miłości ze śmiercią, a więc z totalną destrukcją, która leży u podstaw archetypu miłosnej namietności w kulturze europejskiej. Piszemy „niesłusznie” — albowiem jakkolwiek rozłożymy skomplikowane uczucia łączące Tristana i Izoldę na atomy i pierwiastki, zawsze pozostanie niewyjaśniona sama istota ich miłosnego szaleństwa, w wielkiej mierze przecież irracjonalnego a więc takiego, które prowadzi również do irracjonalnych skutków. Pytania i refleksje, jakie wywołuje znakomicie napisana książka Kunczewiczowej, która wszakże mimo całej swojej psychoanalitycznej biegłości doprowadza nas jedynie na próg tajemnicy, są dowodem, że problematyka, którą podjęła polska autorka jest niezwykle żywa i pobudzająca z filozoficz-

nego punktu widzenia. Dotyczy problemu trwałości wzorów kulturowych i problemu niezmienności ludzkiej istoty. Nasze współczesne szczególne zainteresowanie dla archetypów wywodzi się stąd, że człowiek dziś nie chce żyć jedynie w swoim odmierzonej wąskim czasie historycznym; tęskni za tym, aby mógł uczestniczyć w czasie, który wybitny antropolog kultury Mircea Eliade nazywa „wiecznym czasem teraźniejszym”. Jest to czas, w którym się nieustannie powtarza to, co się już raz odegrało w początkach ludzkich dziejów, co ma swój prawzór w miele, co — w szerszej perspektywie — jest właściwie jakąś sumą archetypów, sumą wzorów. Uczestnictwo w tym „wiecznym” czasie teraźniejszym” ułatwia nam pogodzenie się z historyczną teraźniejszością, która nas już potem nieczy nie może zaskoczyć. Albowiem wszystko to już było: okrucieństwo, kłamstwo, cierpienie, łzy; ale również nadzieja i radość; żyjąc, powtarzamy tylko gesty naszych przodków. Książka Kunczewiczowej przynosi nam w tym względzie smutną pociechę.

Fragment powieści do słowackiego wydania „TRISTANA 46”. Autorka, Polka z pochodzenia, napisała to posłowie w języku słowackim i polskim.

„Kończ sędzio wstydu oszczędź”

ZACZNIJMY od tego, że publiczność i tabela są nieubłagane: chcą zwycięstw, punktów. Nawet w roli gospodarza, wobec 40 tys. świadków, LKS rozdzaje jednopunktowe, prezenty Polonii, Stali, Odrze (jest ich do podziału tylko 52). Grający w totalizatora sportowego stawiają na pewniaki remisy w Łodzi, nie przeczuwając, że 12 września w zakładach nr 37 P przegrają. Zagłębie Walbrzych przegrało w przeddzień występów w Pucharze UEFA myśiąc bardziej chyba o wyeliminowaniu do minimum możliwości kontuzji, u swoich zawodników aniżeli o zwycięstwie. Przez trzy pierwsze minuty meczu myślałem, że jestem w Leeds, Manchesterze lub na Maracanã. Fajerwerk udanych akcji i możliwości łodziaków a potem... tytuł tego artykułu. Wytrzymałem na ławce do 90 minuty obok młodzieńców, którzy skandowali „Zagłębie, Zagłębie” choć wiem, że są łodziakami. To jednocześnie dobre i złe. Dobre, że są obiektywni; złe, że przychodząc na mecz swojego LKS muszą okłaskiwać zwycięstwo i dobrą grę rywali.

Cieszę się, że o tym meczu będą pisać sprawozdawcy sportowi, a nie ja. Gdybym pisał, nie zmieściłbym się w ramach przyzwoitego języka dziennikarskiego. Zajmę się tylko kwestią ogólną jako że w rozgrywkach I ligi będzie przerwa do 13 października i czas na pewne podsumowanie minionego okresu. Gdzie jest źródło tej łódzkiej klęski? Bilans dotychczasowy jest przeciętny. Z ośmiu rozegranych dotychczas meczów (5 jako gospodarze) LKS odniósł 1 zwycięstwo i zdobył tylko 6 punktów. Mając na uwadze dalszy rozkład spotkań w I rundzie, jest to najgorsza pozycja wyjściowa ze wszystkich drużyn ekstraklasy.

Na początek będzie zbiór twierdzeń oczywistych, znanych każdemu zawodnikowi, trenerowi, działaczowi, kibicowi, ale o których ostatnio w polskiej piśmie nożnej dziwnie zapomniano.

Gra się nie 11 zawodnikami, jak myślą, niestety, niektórzy, a szeroką kadrą, zgłoszoną do rozgrywek i zatwierdzoną przez PZPN. W jednym meczu może grać 14 zawodników, w tym dwóch bramkarzy. Podczas meczu trener może zmienić w dowolnym momencie gry dowolnym zawodnika, nawet jeżeli ten zawodnik ma bardzo sławne nazwisko i obrazi się po meczu na trenera. Gorzej, jeżeli sam jest ślepo przywiązany do swojej „złotej” jedenastki lub poszczególnego zawodnika, mimo, że ten niczego do gry nie wnosi. Występy drużyny muszą być prawidłowo ocenione przez trenera, działaczy, prasę i oczywiście samych zawodników. Wnioski z każdego niepowodzenia, porażki winny być źródłem następnego sukcesu, a nie narastającego kompleksu.

Futbol jest grą męską, w obecnej fazie rozwoju — ostrą, na pograniczu brutalności. Wymaga od każdego zawodnika obrzygnięcia twardości, doskonałej kondycji, szybkości i rozbiegania, wiary w zwycięstwo. To ostatnie ma być zaszczeplone w drużynie przez trenera wraz z założeniami faktycznymi na dany mecz.

Niezwykle ważną rolę odgrywa zmiana poszczególnych zawodników. O ile jestem zorientowany w rozgrywkach ligi angielskiej, w każdym meczu gra po 13 a nawet 14 zawodników w jednej drużynie. Bez względu na wynik meczu trener wprowadza na boisko już po połowie spotkania jednego zawodnika, w danej fazie gry — następ-

nego. Zyskuje na tym: drużyna (1/5 zespołu gra z takim zapasem sił jakby zaczynała mecz), trener i publiczność (mają przegląd wartości i możliwości poszczególnych zawodników), zawodnicy (od przypadku tylko wprowadzeni do gry nie wykonują swoich walorów zjedzeni przez meczową treść) oraz ich kole-dzy (którzy zdobywają do nich zaufanie, poznają przyzwyczajenia).

Mecz zyskuje na atrakcyjności, zaś polska piłka nożna ma szansę na nowe, wartościowe debiuty. Siłą rzeczy, zmiany przypadkowe, pod presją wyniku, kontuzji, czy gwizdów publiczności w 80 minutce nie posiadają tych walorów.

Jak realizacja tych prostych zasad wygląda w naszej drużynie? Niestety, prawie każda z nich znajduje zaprzeczenie w łódzkim zespole. Zawodnicy wchodzą na boisko z kompleksem, bez wiary w strzele-nie bramki, środki na jej zdobycie są ubogie. Warunkami fizycznymi, sprawnością, bojowością ustępują innym zespołom I-ligowym. Z wyższością techniczną łodziakom też gruba przesada. Owszem, trzy nasze rodzyńki Sadek, Mszycza, Ostalczyk — mieściłby się nawet w składach Górnik i Legii, Suski mimo poważnych braków kondycyjnych pozostaje wartościowym zawodnikiem, Szadkowi z racji jego doświadczenia również (z powodu różnych dolegliwości gra ostatnio słabiej), ale reszta, nazwijmy rzecz po imieniu, nie nadaje się w tej formie do I ligi. Nawet ulubieniec łodziaków, Jan Lubański, nie może występować na pozycji prawego obrońcy, gdyż zbyt często mija się z piłką, kiksuje i przy wstrzeleniu piłki w strefę bramkową łodziakom nie jest w stanie obstawić główkującego przeciwnika, z racji swych warunków fizycznych. Na pozycji prawego pomocnika czułby się na pewno dużo pewniej, Korzeniowski podoba się też bardzo w akcjach ofensywnych aniżeli defensywnych. O reszcie — im napiszemy mniej, tym lepiej.

LKS jako zespół nie robi spodziewanych postępów, gra schematycznie, zraża się byle niepowodzeniem a utrata bramki „rozkleja” go zupełnie. Potrafi cały mecz forsować w identyczny sposób gry, z czasem z łatwością rozgrywany przez przeciwnika. Atakowanie bramki przeciwnika nie posiada niezbędnej elastyczności. Tym piłkarskim grzechem głównym należy obciążać nie tylko samych zawodników, ale i trenera zespołu. On też jest od-

powiedzialny za brak zmian w zespole (w ostatnich meczach należało np. jeszcze przed przerwą zmienić Pyrdolę, który grał do końca meczu). Jeżeli trener Walczak robi zmiany, to są one przypadkowe, Onegdaj, po kontuzji Lubańskiego w 80-tych minutach meczu, uszywniony tre-mą Smolarek został niepotrzebnie przez własną publiczność wygwizdany za brak opanowania prostej piłki. Brak przemysłanych zmian doprowadził zresztą do tego, że Smolarek faktycznie debiutował w I lidze w meczu wyjazdowym z Górnikiem. Trudno więc jego winić za to, że sfaulował samego Włodzimierza Lubańskiego.

Łną sprawą, że — jak mówi przysłowie: „z niczego barta nie ukręcisz”. W dramatycznej dla łódzkiego sportu sytuacji niezbędne są wzmocnienia. Jeżeli już Malekci z z Mielca i Calus z Sosnowca trenują z drużyną LKS, to działacze powinni przyspieszyć załatwienie tej sprawy w macierzystych klubach i PZPN. Nie wierzę, że np. taka Odra miała inne argumenty od LKS przy pozyskiwaniu Powleczyki z Szombierek. W PZPN są też chyba ludzie pamiętający, że połowa wpływów kasowych, kiedy LKS jest gospodarzem, pochodzi z Łodzi.

Nie jestem idealistą i nie wierzę, że LKS bez wzmocnień, lub z czekaniem na wychowanie rezerw w własnym klubie, utrzyma się w I lidze. Zresztą „klubowymi porozumieniami” załatwiają zmiany kadrowe nie tacy potentaci jak LKS. Obecna sytuacja LKS jest niewesoła, ale nie bez wyjścia. Działacze klubowi muszą za wszelką cenę załatwić sprawę zatwierdzenia „nowych twarzy” do 13 października, tzn. do daty rozpoczęcia dalszej części rozgrywek mistrzowskich. Sami piłkarze przy pomocy trenera muszą przełamać pasę niepowodzeń; wywalczyć w twardych pojedynkach przynajmniej 6-7 punktów do końca rundy jesiennej, aby mieć jeszcze szansę wiosną bronić ligowych szlifów. Tego żąda od nich najbardziej rozkochoane w piłce nożnej miasto w Polsce — sportowa ŁÓDŹ.

PS. Z obsługą prasową spotkań piłkarskich też nie jest najlepiej. Np. w żadnym spor-towym piśmie w Polsce nie mogłem doczytać się ani słowa na temat poziomu pojedynku Start — Lech, który był zaprzeczeniem podstawowych umiejętności gry w piłkę. A grali w o-wym czasie dwaj liderzy II ligi. Nie dziwię się, że już nimi nie są.

OBIEKTYW

REPLIKA NA „ŁAPĘ”

Redakcja Programów Kulturalnych Telewizji nadała w dniu 19. IX. w ramach cyklu „Portrety” — film „Łapa, czyli paradoks o aktorze”, wyreżyserowany przez Grzegorza Królikiewicza. Autor filmu należy do grupy młodych reżyserów, absolwentów łódzkiej Szkoły Filmowej, którzy ostatnimi czasy wnieśli sporo twórczego fermentu w dziedzinę polskiego filmu dokumentarnego.

Jeżeli chcę tu z panem Grzegorzem popolemizować na temat filmu o świetnym aktorze scen warszawskich (przed wojną) i łódzkich — Stanisławie Lapińskim, to kieruję mną dość złożone przesłanki. Przede wszystkim mam wiele szacunku, uznania i sentymentu dla „Łapy” jako aktora, po wtóre zaś doceniam i obserwuję z sympatią twórcę poszukiwania Królikiewicza.

Wyruszając z tych pozycji, muszę stwierdzić szczerze, że wymieniony wyżej film wzbudził we mnie uczucia (jak to się dzisiaj chętnie mówi) mieszane, a nawet więcej: poważne opory. A zatem kawę na ławę!

Autor filmu dąży do powiedzenia możliwie wiele na temat struktury psychicznej wybitnego aktora. Robi to w dodatku z okazji pięćdziesięciolecia pracy scenicznej Lapińskiego, pięćdziesięciu lat zmuśnej i wiernej służby teatrowi, związania z nim na dobre i na złe.

Czy taktowne jest wobec tego otwarcie filmu zainscenizowaną scenką targów Lapińskiego o stawkę za udział w nakręcaniu filmu o nim samym? Królikiewicz odpowie, iż całemu środowisku teatralno-filmowemu znana jest czułość mistrza na punkcie honorariumów. Zgodzi! Nie jego jednego. Wielka Eleonora Duse poświęciła tym prozaicznym sprawom dużo miejsca w swej korespondencji, wykazując aż nadmierną skrupulatność i nieustępliwość.

Reżyser odpowie mi zapewne, że gotów jest poświęcić takt na rzecz prawdy o człowieku. Ale czy to jest, przy znajomości stosunków w świecie artystycznym, istotnie rewelacja? Czy nie chodzi tu raczej o powielanie środowiskowych mitów i anegdot, jakimi przerzucają się nawzajem ludzie teatru?

Wiadomo powszechnie, że Lapiński nie jest aktorem intelektualnym, lecz genialnym wręcz intuicjonistą. Jego poglądy na współczesny teatr są — cóż tu ukrywać? — przestarzałe. Należy do innej epoki, nie jest już w stanie otworzyć się na modne prądy artystyczne, wymyślone — jak zwykły mawiać — przez „bibliotekarzy”. Nie podobają mu się dzisiejsze teatry (choćby Pantomima Tomaszewskiego), bo nie jest w stanie nagłąć się do ich stylistyki. Równałoby się to dla niego odrzuceniu półwiekowych doświadczeń.

Królikiewicz skrzętnie notuje na taśmie filmowej i magnetycznej owe sady estetyczne aktora, które wyrwane z kontekstu, bez wyjaśnienia, obracają się przeciw „Łapie”, brzmiały prymitywnie, czasem wręcz żenująco. Gdyby reżyser obok tego ukazał aktora na scenie! Gdyby częściej jego mędrkowania zastąpił w filmie fragmentami ról, kreacji aktorskich, które po dziś dzień czynią z „Łapy” ulubieńca publiczności! Dla mnie, i myślę, że nie tylko dla mnie, najważniejsze jest czego Lapiński dokazuje na scenie. Jego słabostki to tylko odległy margines.

Jeżeli więc podjąłem tę dyskusję z autorem filmu, to w imię inaczej pojmuwanej rzetelności w odświeżaniu wnętrza żywego, nie fikcyjnego człowieka. Niezmiernie cenna jest tendencja Królikiewicza do bezkompromisowego wypowiedziania się poprzez ekran, do zrywania z prawdami ważnymi, dozwolonymi, z dokumentami grze-czynnymi, ulizanymi, od których aż się mdło robi!

Ale droga, jaką sam sobie wybrał młody reżyser, jest trudna i zobowiązująca. Nie powinno się mylić prawdy z mitologią, nie powinno się mieszać tego co naskórkowe z tym co dogłębne, nie powinno się utożsamiać odwagi z pogonią za efektem. W przeciwnym razie film np. o strud-zonym i tragicznym słudze Melpomeny może chwila-mi — nawet wbrew intencjom reżysera — zabrzmieć jak drwi-na!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ZŁE



Film japoński może zawsze liczyć na grono swych wiernych admiratorów. Kurosawa, Kobayashi, Mizoguchi, Shindo — to nazwiska, które przyciągają równie silnie, jak najwięksi autorzy europejskiego kina. Z równym zainteresowaniem przy-

muujemy zarówno „samurajski” nurt ich twórczości, jak i współczesny. Pierwszy był i pozostaje świadectwem sztuki, która przy całej odmienności konwencji artystycznych i egzotyki zapieczęta kulturowo-his-torycznego, potrafiła zmusić

wyrafinowaną publiczność Zachodu do pokory i uznania tak odrębności, jak i jej wielkości. Drugi nurt przyciąga nie tylko dlatego, iż fascynuje nas zawsze próba sił wielkich artystów w spotkaniu z najwyższą współczesnością, ale również dlatego, iż owa japońska współczesność, o której wiemy, że amerykanizuje się, czy europeizuje w tempie w świecie najszybszym, intryguje nadal z wielu powodów, a obyczajowych nade wszystko.

Akira Kurosawę — samurajskiego i współczesnego znalazłmy, Masaki Kobayashi, autor „Harakiri” i „Bunt” pokazuje polskiej publiczności swój współczesny film po raz pierwszy, jest nim „PAWANA DLA ZMĘCZONEGO”. Wszystkie trzy wymienione filmy łączą jedno — Kobayashi dokonuje w nich gorzkiego rozrachunku dziejów i mentalności swego narodu, w dwu pierwszych — dziejów historycznych, w ostatnim — wspaniale. Konfrontacja „Pawany dla zmęczonego” z filmami poprzednimi musi, niestety, wypaść na jej niekorzyść. Dojrzałe, bogate w sensy ogólne, artystycznie przy tym doskonałe, były samurajskie filmy Kobayashiego. „Pawana” grzeszy, rzecz by się chciało, wrotnością wobec sztuki Zachodu. Mówię sztuki w znaczeniu ogólnym, bowiem w filmie tym znajdują problemy, motywy i

konwencje artystyczne, którymi paralo się nie tylko kino, ale także literatura i teatr, w których problem „bohatera zmęczonego” był jednym z głównych wątków, gdzieś od czasów I wojny światowej.

Miała i ma Japonia swych „zmęczonych bohaterów”, spotykaliśmy ich przecież również w samurajskich filmach. Grzechem Kobayashiego jest jednak to, iż „Pawanę” swą napisał, opierając się nie na wzorcach własnych, lecz właśnie sztuki zachodniej. Dlatego też jego film stał się jeszcze jednym, niestety, w oczach naszych dość banalnym, wariantem dzieł bohatera, którego los dziełszy zdecydowała straszliwa próba czasów wojny. Motyw ten prowadził Kobayashi w zderzeniu z innym, równie do-brze nam znanym, mianowicie problemem dwóch pokoleń — ojców i dzieci — możliwość ich porozumienia i różnych spoj-rzeń na czas współczesny. Naj-większą szansę miał Kobayashi w konfrontacji losów dwu przedstawicieli pokolenia ojców: uczelwego, lecz przegrzywającego Zenzaku i bezwzględnego, lecz zwycięskiego Susuki. Była to największa intelektualna szansa rzeczowej, choć może gorzkiej, refleksji nad historycznymi, społecznymi i moralnymi problemami, czy kompleksami czasów współczesnych. W swym uczyłwym, lecz naiw-

nym humanizmie Kobayashi poniósł porażkę.

Wszystko to raz, tym bardziej, że deklaracja owego humanizmu jest w „Pawanie” zbyt dosłowna, widać ją zarówno w rysowaniu postaci, w obfitości monologów wewnętrznych i głosów autora, w jednoznacznych dialogach i na dobitkę wszystkiego — w nieznośnie melodramatycznej konstrukcji fabuły. Próba sprzenia modnej narracji z konsekwencjami sztuki japońskiej, nie wyszła też „Pawana” na dobre. Lepiej kontemplować wolną narrację samurajskiej o-powieści, wypełnianej znakomicie, właśnie przez Kobayashiego, plastycznym pięknem obrazu, wizualną metaforą, bogactwem znaczeń, aniżeli słuchać słownych deklaracji bohaterów jego „Pawany”, choćby kryły się za nimi najbardziej szlachetne intencje autora. Intelektualnej i artystycznej przegranej Kobayashiego w tym filmie nie umiem sobie wytłumaczyć. Wynika to może również z tego, iż znając „samurajski” nurt jego twórczości, nie znamy innych jego filmów o tematyce współczesnej. A zrealizował ich — podobno wiele, „Pawana dla zmęczonego” jest, niestety, ich nieudany przykładem.

„MOTODRAMA” w reżyserii Andrzeja Konica — dowód na-

stępny na to, jak trudno w kraju naszym zrobić dobrą komedię. Ostatnie premiery „Dzięciola” J. Gruzdy i „Nie lubię poniedziałku” T. Chmielewskiego podzieliły szeroką widownię, a także krytyków na dwa obozy. Jedni wybrzydali, drudzy twierdzili, że wcale, wcale...

W przypadku „Motodramy” sytuacja może się powtórzyć, bo choć spośród najgłośniejszych nawet krytyków nie ceni sobie talentu Jacka Fedorowicza. A jeśli ten film może się czymś bronić, to chyba tylko Fedorowiczem, dziełnie wspieranym przez Dobrowolskiego, Kłosowskiego i Łazuka. Pozostali bohaterowie filmu to też sami znajomi. Czuje się więc człowiek swojski i towarzysko niezłe. Jesteśmy w ogóle au-courant tematu, bo cóż nowego, lub bardziej śmiesznego o sporcie i jego działaczach można powiedzieć, aniżeli to, co oglądamy w „Motodramie”? Jesteśmy zmuszeni sądzić, że nie, i chyba dlatego mało się na filmie śmiać będziemy, bo sytuacje i postacie znane, nowych gagów bardzo niewiele, ale i w samym filmie powtarzają się wielokrotnie. Gdyby z „Motodramy” kilka scen wybrać, byłoby to nawet i zabawne skecze, tele-przerwywniki, tak naszej TV potrzebne. Na cały film materii i pomysłów, niestety, nie stało.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje



Louis Persinger i jego sześciolatek uczeń Yehudi Menuhin

W PIĘDZIESIĘCIOLECIE PRACY YEHUDI MENUHINA

Yehudi Menuhin, podobnie jak Mozart, mając lat sześć dał swój pierwszy koncert. Obdarzony wybitnym talentem Menuhin miał zaledwie trzy lata gdy grał na małych sprzączkach. Gdy jako małe dziecko był na koncercie oświadczył potem rodzicom: „ten pan niech mnie uczy”, wytłumaczył przy tym o jakimś pana chodził. Był to wybitny skrzypek Louis Persinger i on to stał się pierwszym nauczycielem pięcioletniego wówczas Menuhina. Czemu słynny skrzypek wybrał właśnie skrzypce jako swój ulubiony i jedyny instrument? Yehudi Menuhin twierdził, że dlatego, iż spośród wszystkich instrumentów właśnie skrzypce przypominają najbardziej ludzki głos, a on od małego lubił słuchać głosu.

Yehudi Menuhin wypełnił to uciążliwą, systematyczną pracą. Uczył się grać i to było główne jego zajęcie. A potem zaczęły się już koncerty, twarde reżim codziennego życia. I dziś kiedy ktoś pyta słynnego skrzypka czy nie miał żalu do rodziców o stracone dzieciństwo Menuhin odpowiada po prostu: „Nie wiedziałem że może być inne”. Gdy miał lat dwanaście otrzymał od pewnego bankiera doskonały instrument — Stradivari z 1733 roku do dziś ulubione jego skrzypce.

Obecnie w Paryżu wszedł na ekrany film poświęcony życiu i muzycznym osiągnięciom Menuhina. Film został nakręcony przez François Raichenbacha i Bernarda Gavoty.

KTO NA ZDJĘCIU?

W jednym z zachodniemieckich wydawnictw ukazała się powieść pt. „Depresje” Karoliny von Muhr, w której autorka

na podstawie materiału autobiograficznego opisuje swą dwa lata trwającą chorobę psychiczną. Książkę zdoła zamieszczone na jej początku, zdjęcie autorki o melancholijnym wyrazie twarzy.

Nic nie byłoby w tym nadzwyczajnego gdyby nie fakt, że niejaka panna Marie-Louise Plettenberg, nauczycielka w instytucie języków obcych w Bazylei wystąpiła do wydawnictwa z żądaniem zakazu dalszego rozprowadzania książki, a także z pretensjami odszkodowania za straty moralne ponieważ, jak stwierdza, zamieszczone zdjęcie jest niczym innym jak jej własna podobizna sprzed lat dziesięciu, gdy mieszkała w Bonn. Zamieszczenie zdjęcia w książce o chorej psychice może jej szkodzić w pełnieniu zawodu nauczycielki.

Karolina Muhr, której właściwe nazwisko brzmi dr. Charlotte Puhl twierdzi jednak z całą stanowczością, że zamieszczone zdjęcie przedstawia nie kogo innego lecz ją samą, autorkę książki. „Byłoby zabawne — powiedziała — gdyby się okazało że istnieje w dwóch osobach”.



Dr Charlotte Puhl czy Marie-Louise Plettenberg?

Na razie obydwie panie, dla udowodnienia każda swej racji, poszukują negatywu zdjęcia.

CHCIAŁBYM NAPISAĆ DRUGI „WISNIOWY SAD”

— mówił w roku 1968

wybitny angielski dramaturg John Osborne. Zafascynowany sztuką pisarską Czechowa i jego postaciami, Osborne pragnął upodobnić się nawet zewnętrznie do rosyjskiego słynnego dramaturga zapuszczając wąsy i brodę i nosząc okulary takie same jakie nosił Czechow.

John Osborne (ur. w 1929 roku) przez osiem lat był aktorem w jednym z angielskich teatrów. Jego karierą jako dramaturga zaczyna się w roku 1956 gdy wystawia sztukę pt. „Miłość i gniew”. Zyskuje nią uznanie i szeroki rozgłos, zwłaszcza kiedy dramat zostaje przeniesiony na ekran. „Miłość i gniew” staje się programowym utworem „młodych gniewnych” pisarzy (Angry, Young, Men), którzy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, z pasją i gwałtownością atakują stonki i moralność społeczeństwa burżuazyjnego.

Ale z biegiem lat Osborne i inni „gniewni” przestają być gniewni (za wyjątkiem Sillitoe) odchodzą powoli od ostro zarysowanej problematyki społecznej, ciężąc ku zagadnieniom psychologiczno-obywatelskim w odczuciu od konkretnych konfliktów społecznych.

Osborne zdobywszy sławę i pieniądze, dawny „gniewny” godzi się z tą warstwą społeczną, którą przed tym tak gwałtownie atakował. Żyje ze swą żoną (czwartą już aktorką Jill Bennet w swych dwóch domach na wsi i w mieście, uprawia konną jazdę i prowadzi życie bawiarzy, które niegdyś tak oskarżał.

Pisze szereg sztuk z których za najlepszą uchodził „Hotel w Amsterdamie”. Ale Osborne nadal marzy o napisaniu dramatu o takim wydźwięku społecznym i takim ostrym spojrzeniu jakie cechowało rosyjskiego dramaturga w jego „Wisniowym sadzie”. Po trzech latach milczenia Osborne wystawia nową sztukę, graną obecnie w Londynie, pt. „Na zachód od Suez”.

I oto jak Czechow pokazał letarg i rozkład ziemianstwa w przedrewolucyjnej Rosji, tak Osborne w nowej sztuce kreśli tęsknotę brytyjskiej High Society, górnych warstw angielskiej burżuazji, za latami gdy Anglia znajdowała się w rozkwicie swego kolonialnego imperium. Tak

więc autor „Miłość i gniewu” znów powrócił do zagadnień i problematyki społeczno-politycznej.

Krytyka zgodnie przyjęła nowy utwór Osborne'a z zainteresowaniem podkreślając mistrzostwo autora w prowadzeniu dialogów, klarowny rysunek charakterów i jedynie recenzent „Timesa” krzywił się, że jego zdaniem, sztuka ma zbyt melodramatyczne zakończenie.

NOWE ZNALEZISKA W POBLIŻU AKROPOLU

W trakcie prac wykopaliskowych prowadzonych w pobliżu ateńskiego Akropolu greccy i amerykańscy archeolodzy od-

kryli marmurową statuetkę Herkulesa i popiersie rzymskiego cesarza Antoniusa Piusa, który żył w II stuleciu n.e.

Statua Herkulesa ma 1,25 m wysokości i przedstawia go w wieku młodzieńczym. Znalezione dzieło pochodzi z czwartego stulecia przed n.e.

SZTUKI BRECHTA POPULARNE WE FRANCJI

Bertolt Brecht będzie najwięcej grany autorem dramatycznym we Francji podczas najbliższego sezonu teatralnego.

I tak wystawienie sztuk Brechta zapowiadają teatry w Paryżu, Angers, Lyonie i Tuluzie.

GARCIA LORCA JAKO RYSOWNIK

Ostatnio dziennik „l'Humanité” przypomniał m. in. małą książeczkę wydaną w Paryżu w roku 1949, a poświęconą Garcii Lorce jako rysownikowi. Zawiera ona trzynastkę rysunków poety, podaje krótki życiorys i omawia zamieszczone reprodukcje.

Przypomnijmy, że w styczniu pisaliśmy na tym miejscu o Garcii Lorce jako muzyku. Tak więc wybitnie uzdolniony hiszpański poeta i dramaturg Federico Garcia Lorca (1898—1936) bestialsko zamordowany przez faszystów, wypowiadał się artystycznie nie tylko poprzez słowo, ale muzykę (grał i komponował) oraz rysunek.



Rys. Federico Garcia Lorca

Bez strachu

MOTYL

Przefruwa gdzieś we mnie to wspomnienie bardzo ulotne i jednocześnie o mocnej konstrukcji i nagły przestach, czy ja już o tym myślałem, czy ja już o tym mówiłem, czy ja już o tym pisałem, a może nie — może milczałem myślą, słowem — dźwiękiem i literą...

Siedzę bardzo dawno i bardzo jeszcze mały w kuchni, na skrzyneczce, pał się wata żarówka i ktoś mi mówi: „Siadaj na krzeselku, w przywołanych domach dzieci siedzą na krzesłach”. Z żalem porucam nieheblowana, sładana skrzyneczka. Potem, kiedy już siedzę przyzwolcie na krześle, przybyła do mojej siostry z wizytą dziewczynka zaczyna biegać, nie, fruwać raczej po kuchni, składając i rozkładając ramiona:

„Widziałam motyla, jak konał wśród drzew, miał skrzydła złamane, sączyła się krew Chciał walczyć, lecz nie mógł, zabrakło mu sił Przez promień ostatni pod chmury się skrył...”

Ktoś powiedział: „Czas już spać”. Dziewczynka gościnnie obecna odpowiedziała komuś w wątym świetle: „A mnie co tam, coś do zjedzenia w piecyku mi zostawili, byłem zdążyła przed zamknięciem bramy”. Myślałem o wielkiej, czarnej bramie, jej milczących, bezdusznych skrzydłach, o piecyku pełnym jadanych przyschniętych już woni. Mrużyłem oczy, wydawało mi się, że to niezmiernie skrzydła bramy łopoczą przez promień pod chmurą.

„A, wczoraj — mówiła dziewczynka — przyszedł do mamy sam majster i mówi: no, pani Kubiakowa, od jutra do roboty, dwadzieścia złotych na tydzień, teraz będzie do brze”.

Dziewczynka znowu tańczyła w kuchni i śpiewała o motyłu: „Widziałam motyla, jak konał wśród drzew...”

Dziewczynka znowu mówiła o pracy matki, o jedzeniu w piecyku, o ogromnych skrzydłach bramy, których przewidywany ruch ograniczał czas jej wizyty.

Zamknięta już oczy, kiedy odeszła, ktoś krzyknął na moją siostrę: „To nie jest odpowiednie towarzystwo dla ciebie, w życiu szukaj takich, którzy stoją wyżej, a nie niżej od ciebie”. Chciałem powiedzieć, że ona jest wysoko — fruwa — tyle skrzydeł. Ale milczałem, była już noc i ja nie widziałem motyla.

BERNARD SZTAJNERT



KONIEC „OSNOWY”

OSIEM LAT — SIEDEMNASCIE KSIĄZEK — ZE ZMIENNYM SZCZĘŚCIEM — JUŻ TYLKO HISTORIA — CENNE BIBLIOGRAFIE — LITERACKIE „ŁODZIANNA” — WALOR DOKUMENTACJI — GDZIE JEST KONTYNUATOR?

Położyłem przed sobą dwa numery „Osnowy” — ten pierwszy z 1963 roku i ten ostatni sprzed paru tygodni. Osiem lat, siedemnaście sporych książek sygnowanych tytułem „Osnowa”. Jakaś istotna karta w piśmienniczej tradycji Łodzi została zakończona. O „Osnowie” mówiono raz lepiej, raz gorzej, ale był to ambitny almanach. Oblekły trudności redakcyjne i poligraficzne sprawiały, że ukazywał się i rytująco nieregularnie i dziś mało kto posiada pełny komplet siedemnastu numerów „Osnowy”.

Nie do końca jestem pewien słuszności decyzji likwidującej „Osnowę” — zwłaszcza, że nie widać jakos kontynuatora w posta-

ci nowego miesięcznika czy choćby kwartalnika, Rolę trybuny integrującej środowiska naukowe i artystyczne Łodzi pełniła „Osnowa” ze zmiennym szczęściem, ale była piśmie potrzebny.

W pierwszym numerze, przed ośmiu laty, na pierwszej stronie „Osnowy” napisano: „Wszystkie twórcze ośrodki składają się niewątpliwie na swoją dynamikę życia kulturalnego naszego miasta, dynamikę, która nieodparcie domaga się godnego jej wyrazu na zewnątrz w osobnej publikacji. Idea takiej publikacji zrodziła się z konkretnej potrzeby. Potrzeby nie tylko samych literatów, ale całego środowiska twórczego Łodzi...”

Przez te osiem lat kolejne redakcje „Osnowy” próbowały, lepiej lub gorzej, realizować ideę prezentacji twórczych środowisk Łodzi.

Ostatnio nawet pismo zaczęło nabierać rumieńców, zyskiwać określonego czytelnika, wyraźniej rysował się jego profil. Ale numer siedemnasty stał się numerem ostatnim. W kategoriach organizacyjno-ekonomicznych było to posunięcie uzasadnione — w kategoriach szerszych strata pisma jest stratą dotkliwą, przykłą... Skończyła się znów jakaś część życia, piśmienniczej rzeczywistości. W rejonie tradycji i rzewnych wspomnień powędrowało pismo, które wspólnie tworzyliśmy, przy którego narodzinach wielu z nas było.

Przez te osiem lat nie straciły na aktualności zdania z roku 1963 o potrzebie prezentacji środowisk twórczych Łodzi. Przeciwnie — te potrzeby są większe, bo i same środowiska rozwinęły się. Dziś „Osnowa” — lub pismo tego typu — potrzeba jest Łodzi bardziej niż przed ośmiu laty.

W pierwszym numerze (niewłaściwie to słowo, bo „Osnowa” z jakichś proceduralnych przyczyn nie była numerowana) — pisało we wstępie, iż jest to

numer pierwszy. W ostatnim („Wiosna 1971”) nie pisze się, że to koniec. Ale jest tam rzecz cenniejsza.

Otóż ostatni numer „Osnowy” zaopatrzone w bibliografię, w zestawienie sumujące osiemlecie dorobek. Nie wyobrażam sobie, aby ktoś, kto interesuje się (zawodowo czy amatorsko) kulturą tego miasta i regionu, mógł się obejść bez tej cennej bibliografii. Na „Osnowę” mogliśmy narzekać i — oczywiście — nie było to pismo idealne. Ale spoglądając na osiemlecie dokonania tego periodyku właśnie poprzez zestawienie bibliograficzne zestawu widzimy, że jest w nim potężny kawał wiedzy o kulturze tego miasta. Bibliografię zawartości opracowali: Michał Kuna i Jerzy Andrzejewski.

Bibliografia tematyczna „Łódź i ziemia łódzka” zawiera działy od architektury, poprzez biblioteki, drukarstwo, kulturę, naukę i sztukę, aż do towarzystw regionalnych. W tych „łódzkich” działach mieści się ponad 130 publikacji poświęconych Łodzi. Dodam jeszcze, że w tym właśnie ostatnim numerze „Osnowy” pomieszczono dodatkowo próbę bibliografii — „Łódź w literaturze” Zofii Kluczkowskiej. Jest to zestaw zawierający pozycje

dotyczące Łodzi całościowo lub fragmentarycznie, wydane i wznowione w Polsce Ludowej w latach 1945—1970.

Więc znów cenna pozycja „Łodziaków” — ponad sto książek mówiących o mieście, na temat którego krąży opinia, że jest „nielekturalnie”. Ponad sto dzieł literackich, których tematem jest Łódź.

Nie umniejszając w niczym wartości innych tekstów „Osnowy” sądzę, że te dwie pozycje bibliograficzne stanowią o historycznych wprost walorach ostatniego numeru periodyku. Do tego numeru sięgnie po latach każdy, kto zechce się czegoś dowiedzieć o kulturze Łodzi lat sześćdziesiątych. A kiedy spojrzy w zawartą tam bibliografię, odgrzebie w bibliotekach pozostałe zakurzone numery „Osnowy”, żeby znaleźć informacje, opinie, poglądy — wiedzę o kulturze Łodzi.

„Osnowa” przemieniała, stała się już faktem historycznym w piśmienniczej tradycji miasta. Żal, który towarzyszy wszystkiemu, co się kończy, rozwiewa nieco nadzieję, że znajdzie się, być może, kontynuator w postaci innego pisma.

JERZY WIDOR

Pożar w nocy

Wstawał dzień. Mężczyzna poruszał się wśród poczerwiałych ruin tego, co niegdyś było sklepem odzieżowym „Lona Billowsa. Popiół był jeszcze ciepły, detektyw Sanders przyglądał mu się z ciekawością.

Zatrzymał się dłużej nad szczątkami, które pozostały po izdebce przylegającej do sklepu. Na podłodze leżał stos na pół spalonego papieru. Powąchał go i szepnął: nafta. Zauważył, że na kartkach były jeszcze widoczne kolumny liczb pisane staranną kaligrafią.

Poszedł do swego samochodu, wyjął stamtąd dwie szklane płyty i wrócił do resztek książki buchalteryjnej. Z wielką ostrożnością przenosił nadpalone kartki na płyty przyklejając je drugimi płytami.

Gdy zakończył wielogodzinną pracę na pogorzelsku, był na wskroś przesiąknięty odorem dymu.

Wsiadł do samochodu i pojechał do niewielkiego domu na peryferiach miasta, gdzie mieszkał Lon Billows. Zastał go na werandzie popijającego poranną kawę. Na widok detektywa Billowsa poderwał się i zapytał: — Czy coś nowego? Napije się pan kawy?

— Dziękuję, chętnie. Sanders usiadł w fotelu i rozglądał się wokół podczas gdy z kuchni dochodził go odgłos krzątający gospodarza. Zauważył, że meble w mieszkaniu były stare i zniszczone, tapety podarte, dywany brudne. Westchnął i opuścił głowę na oparcie fotela, nie spał całą noc.

Billows powrócił niosąc tacę z filiżankami. Sanders pił z chciwością gorący płyn mrucząc między jednym a drugim łykiem: — Nieprzyjemna sprawa, bardzo nieprzyjemna.

Sklepił przysłaniając się czubkiem swych butów. — Dwadzieścia lat mojej ciężkiej pracy poszło z dymem — rzekł cicho.

— Jak szły interesy? — O, nie mogłem się skarżyć. — To dziwne. Wszystkim kupcom w tym miasteczku źle się powodzi od kiedy fabryka została zlikwidowana. Ludzie zubożeli, sprzedaż znacznie spadła.

— Ale nie u mnie. Dawałem sobie radę, szkoda, że nie można skontrolować moich ksiąg kasowych.

— Postaramy się to zrobić. Billows uniósł głowę i spojrział na detektywa. — To niemożliwe, pożar je zniszczył.

— Nauka czyni cuda.

Blysk strachu pojawił się w oczach Billowsa. — Dowiedzieć się, że żyłem dostatnio... Wystarczyło mi na wiele rzeczy. Sanders wyjął z kieszeni notes i zaczął przerzucać w nim kartki. — Pan ma osiemnastoletnią córkę, Cecilie.

Twarz Billowsa rozjaśniła się. — Tak, studiuje w Akademii w Nerwood... Jeszcze nie zawiadomiłem jej o tym, co się w nocy wydarzyło.

— Dlaczego posyła ją pan do takiej drogiej szkoły?

— Cecilie nie ma już matki, chciałbym, żeby osiągnęła wszystko, co można jej dać najlepszego.

— Słusznie, rozumiem. — Sanders znów zajrzał do notesu. Zmarszczył brwi. Utrzymywanie córki w takiej uczelni kosztuje pana kilka tysięcy dolarów rocznie.

Billows wstał nagle i zaczął nerwowo spacerować po mieszkaniu. — O co panu chodzi? Czy chce pan stwierdzić, że wyrzucam pieniądze na moją córkę? Gdyby nawet tak było, czy to pana sprawa?

Sanders przybrał cierpką wyraz twarzy. — Naturalnie, że to należy do moich spraw.

— Pożarem ma się pan zajmować a nie moją córką! A teraz proszę powiedzieć szybko to, co pan ma jeszcze do powiedzenia!

— Dobrze. Dawał pan córce mnóstwo pieniędzy na jej wydatki. Czasami zapraszała przyjaciół, aby urządzić wypad do tego miasteczka. Czy pan ją widział przy tych okazjach?

— Jeżeli Cecilie chciała się zabawić, ja się z tego cieszyłem. — Billows uśmiechnął się z przymusem. — Za każdym razem gdy ona jest zadowolona, ja jestem szczęśliwszy od niej.

— Czy pan nie pomyślał, że należało przypilnować córkę, że dyscyplina w Nerwood mogła być zaniedbana? Ze wagarowała z Akademią zbyt często, że za dużo pła jak na dziewczynę w jej wieku?

— Głupstwa pan gada! Cecilie jest dobrą dziewczyną! — Lecz kosztowną... Zbyt kosztowną. — Sanders szukał czegoś w notesie. — Czy sklep był wysoko zaasekuruowany?

— Myślę, że tak.

Wreszcie znalazł notatkę, której szukał. — Nawet bardzo wysoko, powiedziałbym.

Billows poruszał się niespokojnie po mieszkaniu, nagle zatrzymał się przed detekty-

wem i utkwiał w nim twardy wzrok. — Czego pan chce ode mnie, czego pan tu szuka? Od chwili, gdy mnie zawiadomiono, że mój sklep palił się, nie mogę znaleźć spokoju, nie spałem całą noc, jestem chory.

— Ja też nie spałem. Chciałbym wiedzieć, dlaczego pan nie poszedł na miejsce pożaru? — Żeby patrzeć, jak w dym się obraca wszystko, co jeszcze niedawno było moim życiem i moim majątkiem?

— Widziałem dużo podobnych przypadków, lecz ten... Dlaczego nie idzie pan ze mną do policji, żeby odciążyć swoje sumienie?

— To jest głupie, co pan mówi. Głupie, obrażające!

Sanders wzruszył ramionami. — Proszę mnie posłuchać, mogę udowodnić to, co panu teraz powiem: ogień został celowo podłożony, użyto nafty. Był pan po uszy zadłużony, ponieważ wydawał pan za wiele na córkę. Sklep z dnia na dzień dawał mniej dochodów. Mam w samochodzie zabezpieczone fragmenty rachunków księgowych. Po zastosowaniu odpowiednich środków chemicznych moi chłopcy z Wydziału Naukowego będą mogli z łatwością odczytać cyfry, które pan chciał zniszczyć.

Billows zbliżył się, zacisnął pięści ze zdenerwowania. Wreszcie odezwał się chrapliwym głosem: — Proszę poczekać minutę, zaraz wrócę.

Sanders westchnął i przymknął oczy. Gdy usłyszał kroki otworzył oczy: lufa pistoletu była wycelowana w jego czoło. — Kupiłem tę broń, aby rozwalić sobie czaszkę — rzekł Billows. — Moje długie nosy i wszystko mi się waliło. Czulem, że tonę. Lecz teraz muszę żyć dla Cecilii... Muszę teraz zabić... dla Cecilii.

— To nie nie pomoże. — Pomoże. Tylko pan ma w ręku dowody, muszę je zniszczyć.

— A co ze mną? — Usunę także pana. — To nie takie proste.

— Dlaczego? Przecież nikt nie wie, że pan tu przyszedł. — Będą kłopoty z trupem. — Mogę wrzucić pana i samogódz do jeziora, nigdy pana nie znajdą. Może będą mnie podejrzewali, lecz zabraknie dowodów.

Sanders wytarł spocną twarz. — Więc to wszystko dla pańskiej córki?

— Proszę wstać! — rozkazał Billows. Ręka trzymająca pistolet była bardzo stanowcza.

Detektyw wstał. Sklepiłkarz dał mu znak, by wszedł do łazienki. — Żeby krew ściekała do wanny, prawda?

— Właśnie tak. — Przed drzwiami łazienki Sanders zatrzymał się. Billows przycisnął lufę do piersi detektywa.

— Czy pan wie — zapytał pojeżdżając — że córka miała klucz

od sklepu? Czy wiadomo panu, że miała przyjaciela, z którym daleko się posunęła i że niekiedy spędzała z nim noce w pokoiku na zapleczu sklepu?

— To jest kłamstwo! — Przeklię kłamstwo!

— O, nie, nie. Rozmawiałem z tym młodzieńcem. Początkowo wstydił się odpowiadać na moje pytania, ponieważ Cecilie płaciła wszystkie jego rachunki.

— Spokojnie, proszę się teraz zachować spokojnie. Wkładam rękę do kieszeni, żeby coś z niej wyjąć... Nie, to nie jest broń. Proszę patrzeć uważnie. Muszę panu coś pokazać, co mam w kieszeni.

Powoli, opanowanymi ruchami, zagłębił rękę w kieszeni marynarki. Gdy ją wyciągnął, trzymał w palcach małe zawinątko w bibułce. Odwinął. Na paple rze leżał pierścienek poczerwiał

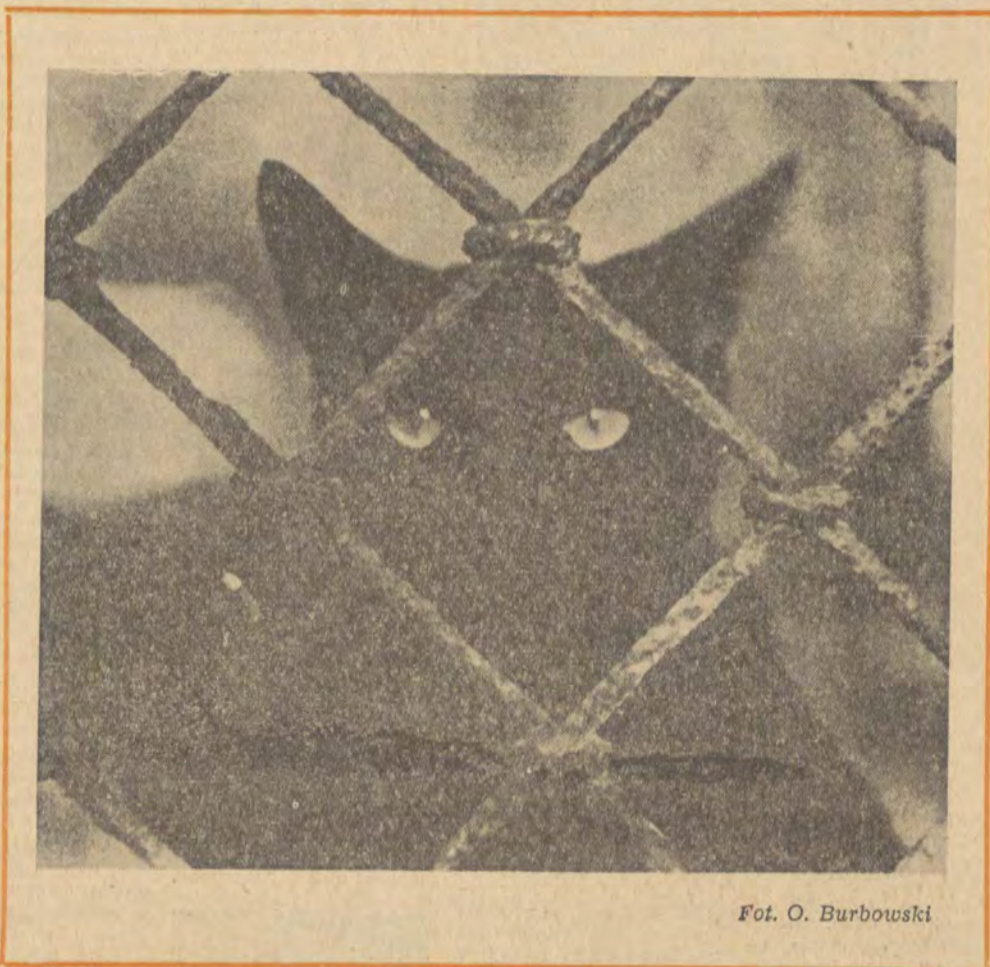
Idę poczekaj na pana w moim samochodzie.

Detektyw ustąpił wygodnie i wyciągnął rękę po butelkę, z której pociągnął mocny łyk. W minutę później doszedł go z wnętrza domu odgłos strzału.

Wyszedł z auta mrucząc do siebie: — Mogę teraz stracić posadę za taką rzecz... — Gdy znalazł się w domu udał się wprost do łazienki, zajrzał do niej i natychmiast zamknął

drzwi. Potem zbliżył się do telefonu i nakręcił numer swego wydziału. — Tak — rzekł do mikrofonu — to właśnie Billows podłożył ogień... Lecz przyszedłem do jego domu za późno, popełnił samobójstwo... Tak, czuję się zmęczony... Odłożył słuchawkę.

Billows nie poruszył się. Pistolet upadł na podłogę. Sanders odwrócił się i rzekł: —



Fot. O. Burbowski

o ognia. Ciemna, mała kulka w środku mogła być perłą.

— O, Boże, — jęknął Billows. — Ludzkie się nadzieje, że może nie pan uczynił to co się stało...

— Więcej ona... nie żyje... Billows nie poruszył się. Pistolet upadł na podłogę. Sanders odwrócił się i rzekł: —

— Do łazienki, prędzej! — wrzasnął Billows.

Detektyw nie poruszył się. Cecilie prowadząca życie nieoklepanne, sypląca z mężczyzną w pokoju przy sklepie. Nie poszedł pan tam wczoraj popatrzeć, prawda? Ale ona była tam.

Spała, nie nie słyszała. Nie wiedziała, co się dzieje.

— Nie, nie! — ryknął Billows ogarnięty paniką. Ręka trzymająca pistolet zadrzęła.

Sanders odwrócił się nagle z wyrazem głębokiego smutku na

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- J. H. WIŚNIEWSKI — Portret bohatera
 - J. SKODLARSKI — Poobozowe refleksje
 - ST. KASZYŃSKI — Żegnając aktora
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna.

A. S.



Lewym okiem

GRA W KLASY

Ograna już i nie kwestionowana przez nikogo dominantą naszego krajobrazu społecznego, naszej aktualnej fazy kultury i obyczajowości są stawetne kioski z piwem i nie mniej osławieni „panowie na delegacji”. Wprawdzie kobiety stanowią już dziś większość w grupie ludności posiadającej wyższe wykształcenie, a także znakomitą większość we wszystkich działach administracji, jednakże prowadzą życie bardziej osiadłe i w delegacje nie jeżdżą. Po prostu — nie chcą. To jest zresztą jeden z powodów, dla których szefowie zawsze chętniej widzą pracowników płci męskiej. Takiego można w każdej chwili szurnąć z Augustowa do Kłodzka, przekierować telefonicznie na Słupsk, a stamtąd dalekopisem do Rzeszowa. Pacjent ani piśnie, a przy tym gdzie przyjedzie to pokrzączy, postraszy, ochrzani. Kobięcie taka rola zawsze mniej jakoś leży.

Pociągi i hotele pełne są zatem panów w delegacji, o których wypisano już ocean anegdot i prześmiewców, a którym na pewno nie zawsze warto zazdroś-

cić. Pisałem ją także i to niedawno o różnych dziwnościach przepisów, dotyczących rozliczania kosztów delegacji. Ponieważ zapowiada się reforma tych przepisów, ponieważ „Kultura” poświęca tej sprawie cały polemiczny artykuł, pozwólcie jeszcze raz o tych rzeczach.

„Przejazd klasą niższą od podanej w rozliczeniu wyjazdu służbowego jest przestępstwem finansowym” — stwierdził Komitet Prac i Plac. Ponieważ prawie wszyscy delegowani mają w delegacji wypisaną pierwszą klasę i taką rozliczają, a jadą drugą klasą — tym samym stają się przestępcami, chociaż właściwie nie wiadomo, kto na takiej kombinacji traci: koleje państwowe nie, więc i skarb państwa też nie. Żeby uniknąć masowego tworzenia przestępców, można każdemu dawać delegację na drugą klasę i koniec, i tak właśnie ma być od nowego roku. Ale co będzie, jeśli gość z taką delegacją będzie się tłukł pociągami osobowym całą noc, a rozliczy pospieszny? A jeżeli pojedzie autostopem, albo inną okazją? Pozostanie nadal przestępcą, oczywiście, chociaż nadwyżki w złotych uzyskuje ciążę własnym siedzeniem, a można by powiedzieć, że to jego prywatna własność. No i wagony pierwszej klasy będą już na pewno zbyt cenne, bo trudno przypuścić, żeby ktoś nimi jechał, a rozliczał klasę drugą. A może wtedy też byłby przestępcą?

Nadwyżki uzyskane przy przestępczym rozliczeniu kosztów przejazdu, dodawał delikwent do dziennej diety 21 złotych, za które oczywiście, wyżywił się przez cały dzień nie mógł. Teraz projektuje się podnieść tę stawkę do 50 złotych. Pozostaje nadal problem, co będzie, jeśli delegat przetrawi trzydzieści, a resztę przewiezie żonę. Też przestępstwo, w myśl Komitetu Prac i Plac. Można zresztą od biedy przy-

puścić, że niejedną przedłużoną delegacją tylko po to, żeby na dietach dziennych parę groszy uciuć. Te grosze mogą się niejednemu wydać ważniejsze od strat, jakie tymczasem może spowodować jego nieobecność we właściwym miejscu pracy. I znowu źle!

Nie bardzo rozumiem, czy cały szum wobec tej gry w klasy wynika z dążenia do tego, żeby pieniądze państwowe nie przeciekaly do prywatnych urzędniczych kieszeni, czy też z dążenia do ograniczenia ogromnych sum, wydawanych przez państwo na podróże służbowe a podnoszących koszty uzyskania dochodu narodowego. To są dwie zupełnie różne sprawy.

Ja bym to rozumiał tak: daje się referentowi polecenie wyjazdu. Jedź bracie do Lęborka, załatw to i tamto, możesz jechać pierwszą klasą, wracaj za dwa dni. Podkreślam: możesz iść jedynką — a to nie znaczy m u s i z. Możesz iść piechotą, bylebyś w dwa dni załatwił. I już, koniec filozofii. Delegujący musi skalkulować, czy załatwienie sprawy jest warte kosztu takiej delegacji. Diety na wyżywienie dziennie niechby były najbliższe faktycznym średnim kosztom — GUS zna te koszty doskonale. Ryczałty za hotele niechby były takie, żeby naprawdę ich skutkiem było odciążenie hoteli. Delegowany przy tym czasami może i zarobi, ale koszty podróży służbowych znakomicie spadną. Powiadam: nie wiem, czy o to chodzi, czy o metafizyczną a niesprawdzalną dosłowność rozliczeń?

Natomiast obniżenia miliardowych kosztów podróży szukajmy całkiem gdzie indziej. Po prostu: drogą ograniczenia ilości wyjazdów. Ale to już inna, nader pryncypialna historia.

ĆWIEK